

# CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



---

# 4

Oskar S. Czernik o Adamie Chmielowskim ♦ Franciszek Haber o ulicy Łozińskiego ♦ Wiersze Mariusza Olbromskiego ♦ Sławomir Gowin o Franciszku Dawidzie Moszkowiczu ♦ Kalendarium Lwowa Beaty Kowalskiej-Sionko

---

(109) 2022

---

## Tęsknota za normalnością...

Dzisiaj jest 273. dzień agresji państwa rosyjskiego na Ukrainę – kolejne godziny grozy i trwającego na terytorium zaatakowanego państwa zmasowanego ataku raketowego niszczącej infrastrukturę miast i wsi. Giną ludzie. Miliony mieszkańców Ukrainy pozbawione są prądu, wody, gazu, ciepła, a za oknem zimowa aura. Kiedy się to wreszcie skończy?!

W takiej atmosferze zbliżamy się do świąt Bożego Narodzenia, Nowego Roku i Święta Trzech Króli; te dni zawsze były radosnymi, jakże wyczekiwanyymi dniami kolędowania. Dzisiaj czujemy ciągle zagrożenie, żyjemy w nieustannym stresie, a przecież musimy żyć normalnie... Taką „normalność” proponujemy naszym Czytelnikom zapraszając do lektury czwartego numeru „Cracovia–Leopolis”.

Ostatnie miesiące roku 2022 dla Zarządu Krakowskiego Oddziału TMLiKPW już tradycyjnie były pracowite. Jak co roku zorganizowano także w tym roku kwestę na rzecz odnowy zabytkowych grobów na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. W imieniu Zarządu Oddziału przekazuję podziękowania wszystkim jej uczestnikom za pełną poświęcenia pracę. Zebrane środki pozwolą na renowację kolejnych nagrobków i pomników często znanych i zasłużonych rodzin lwowskich. 22 listopada, w 104. rocznicę obrony Lwowa, w krakowskiej Bazylice Mariackiej tradycyjnie odbyła się msza święta odprawiona w intencji obrońców Lwowa, którą koncelebrował archiprezbiter mariacki ks. dr Dariusz Raś. W uroczystości licznie uczestniczyli Kresowianie, poczty sztandarowe krakowskich szkół i ich uczniowie. Pierwszy raz – od dłuższego czasu – prezes Krakowskiego Oddziału TMLiKPW Lesław Popławski spotkał się z I wicewojewodą małopolskim Ryszardem Pagaczem, którego poinformował o najważniejszych projektach i problemach realizowanych przez krakowskie środowisko Kresowian. W grudniu planowane jest też spotkanie z Iwoną Gibas – członkinią Zarządu Województwa Małopolskiego, w której kompetencjach są sprawy kultury. Pracujemy nad kolejnymi numerami kwartalnika, a równocześnie kontynuujemy organizowanie kresowych spotkań wtorkowych. Pomaga nam to w zachowaniu „normalności”!

Życzymy Państwu normalnego, spokojnego Nowego 2023 Roku!

*Janusz M. Paluch*

---

## *Kolęda dla przyjaciół po tamtej stronie światła*

Kiedy pan Bóg tupnie butem  
z nieba leci chmura nutek.  
Rozśpiewani aniołowie  
w dłonie łapią je we Lwowie  
i anielskim swym ołówkiem  
każdą zdobią dobrym słówkiem  
bo wieczorem trzeba będzie  
głośno śpiewać je w kolędzie.

Wiele lat nam przyszło przeżyć  
w tyle bajek przestać wierzyć,  
choć się los nam w oczy śmieje  
mamy wiarę i nadzieję,  
że się jeszcze gdzieś spotkamy  
i znów razem zaśpiewamy,  
zachwyceni bożym drzewkiem,  
tę babciną starą śpiewkę.

*Czy ktoś wierzy czy nie wierzy  
Dla każdego jest talerzyk  
Spójrzcie rodzi się dziecinka  
Jest opłatek i choinka  
Nie szukajmy ziemskich nieb  
Liczymy gwiazdki, dzielimy chleb  
Choć stajenka ciągle licha  
Niech utuli nas noc cicha  
I codzienność pysk swój wilczy*

*Wtuli w ciszę i pomilczy  
Gdyby w sercach coś zabrzmiało  
Niechby nam nie uleciało  
Bo za rok będziemy znów  
Nastłuchiwać ważnych słów...*

Gwiazdek świeci dzisiaj wiele  
wśród nich nasi przyjaciele,  
ich szczęśliwe lwowskie dusze  
proszą na wieczerzę wzruszeń.  
W gwiezdnej nieba pelerynie  
świat ukryją, nim czas minie  
i nadejdzie nasza kolej,  
zaśpiewajmy im przy stole.

Chociaż nie ma ich tu dzisiaj  
nie zapadła po nich cisza,  
choć na wiecznej są pastercie  
ich kolędę słyszy serce.  
By nam nieba uchylili,  
by nas kiedyś ugościli  
mówmy sobie dziś odważnie  
słowa małe, ale ważne.

Słowa: Sławomir Gowin  
Muzyka: Maciej Wróblewski  
Wykonanie: Lwowski Kabaret Artystyczny „Czwarta Rano”



*Która to z rzędu Wigilia kochani, a każda Wigilia – czy dobra, czy zła – ślad pozostawia i co pozostanie, to chroń przed zapomnieniem, jak długo tylko się da... – śpiewał w swej uroczej pełnej nostalgii pieśni „Lwowskie wigilie” Jerzy Michotek. Życzymy Wam w ten wciąż trudny czas dobrej Wigilii, spokoju i radości na czas Bożego Narodzenia i wszelkiej pomyślności na nadchodzący Nowy 2023 Rok.*

Redakcja kwartalnika „Cracovia–Leopolis”  
I Oddział Krakowski TMLiKPW

Oskar Stanisław Czarnik

## Adam Chmielowski – święty Brat Albert – a Ziemia Podolska

W ciągu ostatnich dziesięcioleci – w drugiej połowie XX i na początku XXI wieku – wielokrotnie upamiętniono w piśmiennictwie życie i dorobek Adama Chmielowskiego – przyszłego Brata Alberta. Jego działalność patriotyczna, artystyczna i religijna była tematem różnych artykułów i książek, niejednokrotnie solidnie udokumentowanych pod względem historycznym, w tym archiwalnym. Jest jednak w życiu Adama Chmielowskiego pewien rozdział mniej dokładnie opisany od innych. Niektóre związane z nim szczegóły do dziś pozostają niejasne. Jest też pewna okolica, gdzie do dziś brakuje należytego upamiętnienia jego pobytu. Idzie tu o Ziemię Podolską na Ukrainie, o Kamieniec Podolski, Żwaniec, Czarnokozińce czy Husiatyn, a zwłaszcza o Kudryńce nad Zbruczem.

Adam Chmielowski odwiedzał Podole kilkakrotnie. W okolicach Kamieńca Podolskiego mieszkała przecież jego rodzina. Jeden jego pobyt na Podolu był jednak szczególnie ważny, wręcz przełomowy w życiu przyszłego świętego, a także istotny w jego działalności artystycznej. Idzie tu o lata 1882–1884, gdy Chmielowski zamieszkał w Kudryńcach.

Stało się to w szczególnych okolicznościach. Po nieudanym nowicjacie w klasztorze Jezuitów w Starej Wsi w pobliżu Brzozowa i Krosna Adam przeżywał poważny kryzys duchowy. Dręczyły go różne skrupuły moralne, ciągle wyrzuty sumienia, często popadał w głębokie przygnębienie. Usunięty 5 kwietnia 1881 r. z nowicjatu, zgłosił się dobrowolnie 16 kwietnia 1881 r. do Krajowego Zakładu dla Umysłowo Chorych w Kulparkowie na przedmieściach Lwowa. Podjął kurację. Lekarze po pewnym czasie orzekli, że

pacjent cierpi na hipochondrię, ustawiczną melancholię, wykazuje nadmierną wrażliwość moralną, łatwo ulega różnym niepokojom duchowym, które prowadzą do depresji, wyczerpującej go psychicznie i fizycznie.

Kuracja szpitalna nie przyniosła zdecydowanej poprawy. Pomoc nadeszła z zewnątrz. Przybył do Lwowa brat Adama, Stanisław Chmielowski, dzierżawca majątku Koziebrodzkich w Kudryńcach nad Zbruczem.

Zgłosił się do zakładu w Kulparkowie i za zgodą lekarzy zabrał ze sobą Adama 22 stycznia 1882 r.<sup>1</sup>

Kudryńce to miejscowość wyróżniająca się swym malowniczym położeniem. Rzeka Zbrucz płynie tu w głębokiej dolinie i tworzy mniej więcej dwukilometrowe zakole. Kudryńce znajdują się jakby na cyplu otoczonym z trzech stron przez rzekę. Wschodnie zbocza jaru (od strony Kamieńca Podolskiego) opadają łagodnie kilkoma tarasami w kierunku Zbrucza. Stoki zachodnie (od strony Tarnopola) wznoszą się stromo i tworzą w niektórych miejscach skalne urwiska.

Wieniecą te zbocza ruiny zamku Herburtów, położone prawie na krawędzi jaru. Na brzegach rzeki rozciągają się liściaste lasy. Dalsza okolica w kierunku Kamieńca Podolskiego tworzy lekko pofałdowaną wyżynę, którą przecinają dolinki różnych strumieni.

Wzdłuż rzeki Zbrucz biegła wówczas granica między zaborem rosyjskim a zaborem austriackim, a więc między carską Rosją a cesarstwem Habsburgów. Majątek dzier-



Brat Albert, 1906, źródło: Polona

<sup>1</sup> Por. O. Władysław Kluz, karmelita bosy, *Adam Chmielowski – Brat Albert*. Kraków 1975, s. 113–114; S. Magdalena Kaczmarzyk, albertynka, *Trudne drogi miłości*. Kraków 1986, s. 39–40.

zawiony przez Stanisława Chmielowskiego przylegał zatem do granicy, znajdował się zarazem po stronie rosyjskiej. Od Kamieńca Podolskiego dzieliła go odległość około dwudziestu kilometrów, a od Żwańca nad Dniestrem mniej więcej dziesięć kilometrów.

Według planu sporządzonego niegdyś przez Adama Chmielowskiego nad samą rzeką znajdował się sad, dalej rozciągał się park, nieco wyżej stał dwór, a przed nim, a więc od zachodu, założono ozdobny gazon, natomiast z boku i za budynkiem usytuowano ogród warzywny. Ponad kolejną pochyłością wznosiły się zabudowania gospodarcze – stodoły, obory i stajnie. Opodał, na skraju wschodniego zbocza, zaczynały się dwie drogi. Jedna prowadziła do Kamieńca Podolskiego, a druga, prawie równoległe do rzeki Zbrucz, do pobliskiego Żwańca.

Warto spojrzeć na tę okolicę oczami świadka ówczesnych zdarzeń, Jana Chmielowskiego, syna Mariana, zarazem bratanka Adama, przyszłego Brata Alberta. W latach osiemdziesiątych XIX wieku Jan jako dziecko przebywał w Kudryńcach. Po upływie 50 lat, w okresie II Rzeczypospolitej, był pracownikiem urzędów państwowych we Lwowie i w Tarnopolu. Zajmował się kontrolą finansową administracji prowincjonalnej, często podróżował służbowo, docierał aż do ówczesnej granicy polsko-sowieckiej na Zbruczu. Tak wówczas wspominał bliski mu krajobraz kudryniecki: „Po tamtej stronie Zbrucza, w tej nadzbruczańskiej kotlinie – kilometr wszcz, półtora wzdłuż – mieszkałem pięćdziesiąt lat temu jako młody chłopak. Ta zapadlina wśród podolskich »garbów« stanowiła wtedy osobny kudryniecki światek. Dziecinnymi oczami przyglądałem się postrzępionym w dziwaczny kształt murom zamczyska jako czemuś nieznanemu, niedostępnemu – za granicą. (...) Widoczny z każdego miejsca kudrynieckiego światek dziwny kształt – zewłok zamku – ni to sfinks, ni to trupia czaszka w celi mnicha – przykuwał do siebie wzrok mieszkańców kotlinki. Poza to zamczysko zachodziło co dzień w innych barwach słońce. W księżycowe noce ruiny bielily się tajemniczo ponad okolicą. Coś mówił ten sfinks – trzeba było tylko odgadnąć jego bezgłośną mowę”<sup>2</sup>.

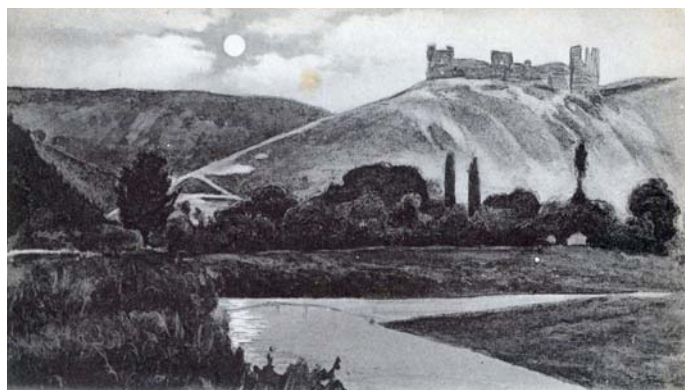
Tutaj, wśród najbliższej rodziny i w tej malowniczej okolicy rozpoczęła się kuracja Adama. Początkowo rzadko opuszczał majątek swego brata. Wychodził z dworu do parku czy sadu, oglądał najbliższe krajobrazy. Dużo czytał, często zagłębiał się w swych medytacjach. Wydawało się, że nie zwraca uwagi na ludzi w swoim otoczeniu, że pozostanie na zawsze milczącym samotnikiem. Przełom nastąpił w sierpniu 1882 r. po spowiedzi odbytej u ks. Leopolda Pogorzelskiego, proboszcza jednej z podolskich parafii katolickich. Adam Chmielowski powrócił wówczas do regularnego uczestnictwa w życiu zbiorowym, do zwykłych kontaktów z rodziną w Kudryńcach. Odwiedzał krewnych i sąsiadów w innych miejscowościach, a także kościoły w bliskiej okolicy<sup>3</sup>.

---

nr 38, 11 IX, s. 6. Jan Chmielowski w latach trzydziestych XX w. mieszkał wraz ze swą najbliższą rodziną we Lwowie. Napisał powyższe wspomnienie po swej bytności na zachodnim brzegu rzeki Zbrucz, w pobliżu ruin zamku Herburtów. Wzdłuż Zbrucza biegła wówczas granica polsko-sowiecka. Autor oglądał Kudryńce leżące na przeciwległym brzegu rzeki, pozornie „na wyciągnięcie ręki”, ale już niedostępne, gdyż znajdowały się na terenie sowieckiego imperium. Opisywanych tu miejsc nie należy utożsamiać z rozbudowaną dziś miejscowością Kudryńce, leżącą na zachodnim brzegu rzeki, a więc od strony Tarnopola. Obecnie funkcjonują na Ukrainie nieoficjalnie dwie równorzędne nazwy: Kudryńce Tarnopolskie i Kudryńce Chmielnickie.

<sup>3</sup> Por. O. Władysław Kluz, dz. cyt., s. 115–116; s. Magdalena Kaczmarzyk, dz. cyt., s. 43–46. Pewne szczegóły związane z powyższymi wydarzeniami wymagają jednak dokładniejszych wyjaśnień. Różni autorzy sugerują, że pewnego sierpniowego popołudnia czy wieczoru Adam Chmielowski udał się na koniu do Szarogrodu do tamtejszego proboszcza, ks. Leopolda Pogorzelskiego, odbył tak ważną w jego życiu spowiedź i w krótkim czasie (najwyżej w ciągu paru godzin) powrócił do domu. Z Kudryniec do Szarogrodu w prostej linii jest jednak ponad sto kilometrów, a różnymi krętymi drogami zapewne znacznie więcej. Tym samym koń, na którym jechał Chmielowski, musiałby poruszać się z szybkością samolotu lub co najmniej samochodu wyścigowego, by w tak krótkim czasie przebyć ten dystans w obie strony. Można zatem sądzić, że Adam odbył swą przełomową spowiedź u księdza Pogorzelskiego w jakimś innym miejscu, położonym znacznie bliżej Kamieńca Podolskiego i Kudryniec.

<sup>2</sup> Jan Chmielowski, *Wspomnienie o stryju Adamie*, „Wiadomości Literackie” (Warszawa) 1938,



Po tym ważnym wydarzeniu rozpoczął się doniosły okres w jego pracy artystycznej. Chmielowski odtąd często jeździł po okolicy, na koniu lub niewielkim wózkiem po tamtejszych wzgórzach, jarach i lasach. Chętnie dosiadał niewysokiego, ale mocnego huculskiego konika. Był przecież kaleką, stracił w powstaniu nogę i przejażdżka na grzbiecie tego kuca była łatwiejsza niż korzystanie z rosnącego wierzchowca. Jadąc na swym koniku, zatrzymywał się co pewien czas, choćby na łagodnym zboczu jakiejś wyniosłości czy na skraju skalistego jaru, by rozejrzeć się wokół, by naszkicować w pierwszym ujęciu jakiś krajobraz lub pewien charakterystyczny obiekt. Niekiedy powstawały przy tym zabawne kłopoty. Wspominał je bratanek Adama, wspomniany już Jan. „Adam odzyskuje zawsze trochę pogody ducha, gdy wsiada na swego karego huculskiego kucyka. Pomimo sztucznej nogi dobrze trzyma się na koniu, tylko trudno z wsiadaniem, tym bardziej że filut kuc – kary z białą łysiną przez czoło i jedno nozdrze – znany jest ze skłonności do płatania figli. Gdy stryj Adam zsiądzie, by naszkicować jakiś »garb« podolski pokryty szachownicą pól; gdy chce złowić na kartkę szkicownika rozległość podolskiego krajobrazu; gdy sili się, by oddać typową dla tych okolic, nasuwającą porównanie z echem, kilkakrotność horyzontu wśród powyginanych podolskich płaskowzgórz i (...) jarów – kuc spogląda figlarnie i powoli oddala się o parę kroków. I tak samo będzie się wciąż po parę kroków oddalał, gdy stryj Adam zechce go znowu osiąść. Aż gdy stryj zmęczony usiądzie na kamieniu i wydostanie kawałek chleba z kieszeni, kuc kapituluje, by dostać najpierw klapsa po

miękkich, skubiących rękaw chrapach, a potem – kawałek chleba. Teraz da się podprowadzić do jakiegoś kamienia, na którym stryj oprze sztuczną nogę, by zdrową przerzucić przez siodło”<sup>4</sup>.

Swoje pomysły artystyczne, a także studia różnych szczegółów, potrzebnych w przyszłych obrazach, utrwał Chmie-

lowski w swym podręcznym *Szkicowniku*. Owocem wspomnianych przejażdżek konnych były rysunki ołówkowe, akwarele i rysunki lawowane tuszem, jak np. *Krajobraz z fragmentem płotu*, *Pejzaż skalisty*, *Krajobraz ze słupem granicznym*, *Pastuch i bydło w zaroślach*, *Okrągły szalaś wśród drzew*, *Młocka*, *Pejzaż górzasty*, *Ruiny zamku*, *Droga przez wieś*, *Siedzący chłopiec z kapeluszem*, *Zboczne wzgórze*, *Plan zabudowań w Kudryńcach*. W sumie ów *Szkicownik* (na brązowej okładce znajduje się wykonany przemysłowo napis *Skizzenbuch*) zawiera 37 kart, na których zamieszczono 66 dzieł (niektóre karty wykorzystano jednostronnie). Znaczną część tych ilustracji można by potraktować jako samoistne, ukończone już prace, inne stanowiły szkice, które autor wykorzystał w swych przyszłych malarskich ujęciach. *Szkicownik* Adama Chmielowskiego utrwał zatem krajobrazy Podola, w tym wybrane charakterystyczne obiekty, a także codzienną pracę w majątku, portrety ludzi, sylwetki zwierząt, zarysy budynków gospodarczych, wnętrza dworskich pomieszczeń. Kilka ilustracji zawartych w *Szkicowniku*, np. *Pejzaż wiejski z drzewami i chałupą*, wykonał młodszy brat Adama – Marian Chmielowski, przebywający wówczas również w Kudryńcach. *Szkicownik* jako całość świadczy o ówczesnych zainteresowaniach artystycznych Adama Chmielowskiego.

Ten ciekawy zbiór artystyczny był do niedawna mało znany. Stanowił własność Wandy z Chmielowskich Markiewiczowej, córki Jana i wnuczki Mariana Chmielowskiego, zamieszkałej po II wojnie światowej wraz

<sup>4</sup> Jan Chmielowski, dz. cyt., s. 6.

z rodziną w Częstochowie. Wanda Markiewiczowa na pewien czas przed swą śmiercią ofiarowała powyższą pamiątkę Siostrzom Albertynkom w Krakowie. Dzięki tej darowiźnie *Szkiecownik* opisała szczegółowo albertynka siostra Magdalena Kaczmarzyk w swej monografii *Trudne drogi miłości*, poświęconej Bratu Albertowi. Nadała przy tym tytuły, tam gdzie ich brakowało, poszczególnym rysunkom i akwarelom. Kierowała się oczywiście tematyką poszczególnych dzieł<sup>5</sup>. Uwzględniono je na wystawie w 1995 r. w Muzeum Archidiecezjalnym w Krakowie, ukazującej twórczość artystyczną Brata Alberta<sup>6</sup>.

W czasie pobytu w Kudryńcach Adam Chmielowski kontynuował zarazem twórczość malarską. Miał swą pracownię w dworze rodziny Dwernickich w Zawalu, 3 km na południe od Kudryniec. Wiodła stamtąd do Zawala polna droga, wspinająca się na spore wzniesienie i prowadząca dalej ostro w dół. Tam właśnie powstawały obrazy olejne Chmielowskiego, przedstawiające piękno Ziemi Podolskiej, stanowiące zarazem świadectwo jego ustawicznych poszukiwań artystycznych. Należały do nich m.in. dzieła: *Kudryńce (ruiny zamku w Kudryńcach)*, *Zawale (Wioska podolska)*, *Amazonka. Portret Wandy Dwernickiej z Zawala*, *Czarnokoziniec*, *Pejzaż z okolic Czarnokoziniec*. Rezultatem ówczesnych przedsięwzięć artysty były też akwarele, np. *Siwek*, *Wyjazd na polowanie*, *Przejażdżka*, *Powrót z przejażdżki*, *Zbocze parowu I i II*, *Owce w jarze*, *Wrony nad urwiskiem*, *Wioska wieczorem*. Warto też pamiętać o ówczesnych dziełach Chmielowskiego zniszczonych lub zaginionych, jak np. akwarela *Jar podolski w zimie*<sup>7</sup>. Jak już wspomniano, niektóre obrazy olejne i akwarele stanowiły realizację pomysłów, utrwalonych po raz pierwszy w *Szkiecowniku* (np. *Przejażdżka*, *Chłopczyk z kapeluszem*, *Ruiny zamku w Kudryńcach*). Wyróżnia się przy tym efektami barwnymi obraz *Zawale*, przedstawiający wieś w głębokiej dolinie, zarysy cerkwi i okalających ją chałup, zbo-

cza wzgórz w pełnym letnim słońcu, kontrasty światła i cienia, paletę różnorodnych barw czy ich odcieni w zależności od stopnia oświetlenia przedmiotu. Można sądzić, iż efekty kolorystyczne czy nastrojowość w pewnych dziełach Chmielowskiego wiązały się z wyraźnym wpływem impresjonizmu w rozwoju ówczesnego malarstwa polskiego.

Pobyt w Kudryńcach był nie tylko w jego życiu okresem usilnej pracy artystycznej. Był to również czas dalszych poszukiwań duchowych. Chmielowski nadal często odwiedzał ks. Leopolda Pogorzelskiego. Pożyczał książki z jego biblioteki. Interesował się zwłaszcza dziełami mistycznymi świętego Jana od Krzyża, jak np. *Droga na górę Karmel*, *Noc ciemna*, *Pieśń duchowa*, *Żywy płomień miłości*, *Przestrogi duchowne*<sup>8</sup>. Zapoznał się też w tym czasie z regułami III Zakonu świętego Franciszka. Tę właśnie postać przyjął jako swój wzór duchowy. Podjął zarazem postanowienie, by rozpocząć działalność społeczną o inspiracji franciszkańskiej, by nieść pomoc mieszkańcom Podola, bez względu na przynależność narodową czy religijną.

Często wyruszał z Kudryniec konno lub małym wózkiem, by odwiedzić różne miejscowości w okolicach Kamieńca Podolskiego, Latyczowa, Jarmoliniec czy Żwańca. W tamtejszych stronach, zwłaszcza wzdłuż rzeki Zbrucz, Smotrycz, a także w okolicach Dunajowiec, Uszycy, Baru czy Szarogrodu sporo było wówczas polskich dworów i wiosek, kościołów i parafii rzymskokatolickich. Chmielowski odnawiał niektóre stare obrazy w świątyniach, a także kapliczki przydrożne. Prawdopodobnie wykonywał malowidła ścienne. Wiele zarazem rozmawiał z duchownymi i świeckimi. Zachęcał ich gorąco, by tworzyli ogniwa III Zakonu świętego Franciszka, by nieśli pomoc materialną i duchową wszystkim mieszkańcom, którzy jej potrzebują. Swą najbliższą przyszłość

<sup>5</sup> S. Magdalena Kaczmarzyk, *Trudne drogi miłości*, dz. cyt., s. 203–206.

<sup>6</sup> *Adam Chmielowski – Św. Brat Albert (1845–1916)*. Katalog wystawy opracowała Elżbieta Charazińska. Kraków 1995, s. 88–89.

<sup>7</sup> Tamże, s. 58–64, 75–76, 81–85. Por. również s. Magdalena Kaczmarzyk, dz. cyt., s. 195–196, 200–201.

<sup>8</sup> O. Władysław Kluz, dz. cyt., s. 111–117. Jak twierdzi autor, Adam Chmielowski już jako Brat Albert „książkę z dziełami tego świętego, oprawioną w szare płótno, zawsze będzie miał przy sobie i będzie tłumaczył obydwu swym zgromadzeniom mądrość zawartą w nauce tego Doktora Kościoła i na niej będzie budował gmach doskonałości swoich duchowych dzieci” (s. 117). Powyższe związki duchowe wymagają odrębnego, specjalistycznego studium.

Adam Chmielowski wiązał zapewne z dalszą działalnością artystyczną i społeczną na tak bliskim mu Podolu.

Stało się jednak inaczej. Kolejne podróże Adama po Ziemi Podolskiej, próby tworzenia ogniw tercjarskich wzbudziły podejrzania rosyjskiej policji politycznej. Nabrała ona przekonania, że dawny powstaniec, niezależny artysta, a zarazem niepoprawny „polski buntownik” odwiedza różne miasteczka i wioski Ukrainy, by stworzyć tu jakąś nową organizację podziemną i przygotować kolejne wystąpienie zbrojne przeciw panującemu porządkowi. Należało zatem pozbyć się jak najszybciej tego niebezpiecznego mieszkańca Kudryniec.

W jakich okolicznościach Adam Chmielowski opuścił przymusowo Podole?

Istnieją dwie różne wersje przebiegu dalszych wydarzeń. Niektórzy autorzy książek o Bracie Albercie twierdzą, iż Adam Chmielowski otrzymał od władz rosyjskich oficjalne pismo z żądaniem, by w ciągu trzech dni opuścił terytorium Cesarstwa Rosyjskiego. Miało ono zawierać jednocześnie ostrzeżenie, że w przypadku odmowy wykonania tego nakazu adresat zostanie zesłany na Sybir. Brakuje jednak we wspomnianych opracowaniach dokładnego tłumaczenia tego dokumentu. Doświadczenie historyczne zarazem uczy, iż policja rosyjska nie była skłonna, by namawiać osobę podejrzaną o spisek antypaństwowy do spokojnego wyjazdu na Zachód. Starano się spowodować, by potencjalnego buntownika zesałać jak najszybciej na Syberię lub do innych odległych krain Cesarstwa.

Istnieje jednak odmienna opowieść o tych wypadkach. Wspomniany bratanek Adama, Jan Chmielowski, opisał je inaczej. Według niego stryj Adam, zagrożony

aresztowaniem, przekroczył granicę rosyjsko-austriacką nielegalnie. Brat Adama Stanisław, dzierżawca Kudryniec, uzgodnił dyskretnie z oficerem rosyjskim, dowódcą pobliskiej strażnicy, iż podlegli mu żołnierze określonego dnia i o ustalonej godzinie będą mniej pilnie strzegli granicy na Zbruczu w rejonie kudrynieckiego zakola tej rzeki. Zbrucz ma silny, prawie górski prąd, są w nim różne wiry, doły czy inne pułapki, które mogą być niebezpieczne dla dobrego pływaka, a tym bardziej dla człowieka, który zamiast jednej nogi miał protezę. Adam Chmielowski przeszedł jednak w bród graniczny Zbrucz w miejscu stosunkowo bezpiecznym, na wysokości kudrynieckiego sadu, gdzie mieszkańcy dworu często latem kąpali się w rzece. Jak pisał później Jan Chmielowski, jego stryj przebywając rzekę, przekroczył podwójną granicę. Gdy wyszedł z wody na jej przeciwległy brzeg, znalazł się na terytorium Cesarstwa Austriackiego, a więc poza zasięgiem działalności policji rosyjskiej.

Przeszedł zarazem drugą granicę. Zamknął już na zawsze podolski okres swego życia. Do bliskiej mu krainy już nigdy nie wrócił. W ciągu kilku następnych lat rozpoczął w Krakowie nową epokę w całym swym życiu. Podjął przedsięwzięcia, dzięki którym stał się znany jako Brat Albert – opiekun ludzi ubogich, odrzuconych, pogardzanych. Stał się wielkim autorytetem moralnym, a w kilka dziesięcioleci po śmierci jego czyny uwieńczyła beatyfikacja i kanonizacja.

Co jednak pozostało z jego podolskich przeżyć, tamtejszych dokonań?

Pozostały dzieła artystyczne – obrazy olejne, akwarele i szkice – powstałe w tym właśnie kudrynieckim okresie. Wszystkie biografie przyszłego Świętego zawierają

Adam Chmielowski, „Wiosna wieczorem”,  
ok. 1882–84, akwarela, 9x23 cm





stwierdzenie, że właśnie tutaj, na Podolu, a zwłaszcza w samych Kudryńcach, Adam Chmielowski po głębokim kryzysie psychicznym odzyskał równowagę duchową, a zarazem odkrył swe dalsze posłannictwo i podjął pierwsze poczynania z myślą o realizacji zamierzeń. Właśnie tu, nad Zbruczem i Smotryczem, kształtował się duchowo przyszły Brat Albert.

Niestety trudno znaleźć na dzisiejszym Podolu materialne ślady bytności Adama Chmielowskiego. Władze sowieckie w ciągu wielu dziesięcioleci wykazywały „nadzwyczajne uzdolnienia” w systematycznym niszczeniu dorobku cywilizacyjnego „polskich wyzyskiwaczy i krwiopiczów”. Już w okresie międzywojennym sowieci wycięli w pień sad i park, nie pozostawili żadnego drzewa. Zniszczyli później dwór, ozdobny gazon, ogród warzywny, większość urządzeń gospodarczych. Zachowały się tylko do niedawna ruiny obór, stajni i stodoła na najwyższym nadrzecznym tarasie. W zakolu Zbrucza powstało osiedle kolchozowe. Przedmiotem planowej dewastacji stały się też okoliczne dwory i kościoły, np. w Czarnokozińcach czy w Żwańcu.

Przybysz z Polski w rozmowie z Ukraińcami, obecnymi mieszkańcami Kudryniec – mimo ich przyjaznego nastawienia – niewiele może dowiedzieć się o historii tej miejscowości. Wskazują oni uprzejmie miejsce, gdzie prawdopodobnie stał kiedyś jakiś „polski dim”, „polski dwir”. Pewna Ukrainka zapewniała życzliwie, że znajdował się na terenie jej ogrodu, gdyż ilekroć usiłowała tam głębiej kopać, natrafiała zawsze na potężne fundamenty. Według planu sporządzonego niegdyś przez Adama Chmielowskiego dwór stał jednak nieco niżej, bliżej rzeki. Na terenie jej ogrodu istniała może jakaś inna budowla. Bez dokładnych badań, w tym pomiarów, trudno dzisiaj tę sprawę wyjaśnić.

Mimo dziejowego kataklizmu pozostało jednak piękno Ziemi Podolskiej – rozległego płaskowyżu, gdzieniegdzie wyniosłych garbów, głębokich rzecznych jarów o stromych, skalistych lub zalesionych zboczach. To wszystko ocalało, chociaż zostało w niektórych miejscach zeszepecone. Można by zatem oczami wyobraźni dostrzec Adama Chmielowskiego, jak przemierza ten kraj, jak zsiada ze swego huculskiego konika i wybiera dogodne miejsce, by ująć szkicowo



Z listu Adama Chmielowskiego

zarys jakiegoś obiektu i stworzyć później większe dzieło. Tak właśnie ujął tę okolicę Jan Chmielowski, gdy w latach trzydziestych ubiegłego wieku z zachodniego, polskiego jeszcze brzegu rzeki Zbrucz, spod zamku Herburtów, długo oglądał dolinę kudryniecką, dewastowaną już planowo przez sowiektów. „Na granicy dwóch światów... gdy siedzę u stóp zamczyska w Kudryńcach – zapewne ostatni już raz w życiu – i patrzę w kraj dzieciństwa tam za granicą – wydaje mi się, że ścieżką skalną na łysym kucu jedzie brat Albert w swym szarym mniszym habicie, zamyślony”<sup>9</sup>.

<sup>9</sup> J. Chmielowski, dz. cyt., s. 6. Autor cytowanego wspomnienia został wraz z żoną aresztowany we Lwowie w 1945 r. przez NKWD, gdyż ich najmłodsza córka, Maryla, studentka Politechniki Lwowskiej, należała do lwowskiej Armii Krajowej. Wypuszczony po kilku latach z łagru, Jan Chmielowski przybył do swego brata Maksymiliana (również bratanka Brata Alberta), zamieszkałego wówczas w Wydminach na Mazurach. Wkrótce jednak polskie władze komunistyczne represjonowały Maksymiliana i jego syna Kazimierza, oficera AK, „żołnierza wyklętego”. Obaj stracili życie w więzieniu w Białymstoku, a Jan zmarł wkrótce na atak serca. Jego żona Janina Chmielowska, zwolniona po wielu latach z łagru i przymusowego osiedlenia, przybyła do Częstochowy, gdzie zmarła w latach 80. XX w. w setnym roku życia.

**Piotr Zubowski, Janusz Mazur\***

# Skarby kresowej świątyni – dziedzictwo kościoła św. Marii Magdaleny we Lwowie na ziemi lubaczowskiej

Galeria Oficyna w Zespole Zamkowo-Parkowym przy Muzeum Kresów w Lubaczowie, 21 sierpnia – 31 grudnia 2022 r.



fot. Andrzej Rychlewski, ze zbiorów Muzeum Kresów w Lubaczowie

**I**deą wystawy „Skarby kresowej świątyni – dziedzictwo kościoła św. Marii Magdaleny we Lwowie na ziemi lubaczowskiej”, przygotowanej wspólnie przez Muzeum Kresów w Lubaczowie i Parafię Rzymskokatolicką pw. św. Wojciecha w Cieszanowie, była prezentacja – po raz pierwszy w takiej formie – ocalonego na terenie ziemi lubaczowskiej dziedzictwa sztuki i kultury jednej z najbardziej znanych świątyni lwowskich – kościoła pw. św. Marii Magdaleny. Zabytki te trafiły na tereny dzisiejszej Polski w wyniku powojennych zmian granic państwowych i ekspatriacji ludności polskiej z dawnych Kresów Rzeczypospolitej, w tym też ze Lwowa. Wiążą się one z kluczową dla powojennej historii ziemi lubaczowskiej decyzją abpa Eugeniusza Baziaka, metropolity lwowskiego, o przeniesieniu ze Lwowa do największego miasta na pozostałym po 1945 r. w granicach Polski skrawku Archidiecezji Lwowskiej ob-

rzędku łaćnińskiego jej siedziby. Tak z Lubaczowem spłótła się historia nie tylko kościoła św. Marii Magdaleny we Lwowie, ale wielu innych kresowych świątyni, ich sakralnego wyposażenia, a także posługujących przy nich dotychczas duchownych.

Koncepcja wystawy zakładała wydzielenie pięciu głównych części, których zadaniem było wprowadzenie odbiorcy w zasadniczy temat ekspozycji – okoliczności znalezienia się elementów wyposażenia lwowskiego kościoła pw. św. Marii Magdaleny w Cieszanowie i Lubaczowie oraz ocena stanu ilościowego i wartości kulturowej znajdujących się w tych miejscowościach zabytków.

Sam kościół, jego historia oraz historia związanej z nim społeczności zostały potraktowane przez autorów ekspozycji, jako symbol wojennych i powojennych losów całej Archidiecezji Lwowskiej. Intencją autorów było nawiązanie również do obecnej sytuacji na Ukrainie, toczących się na niej działań zbrojnych, wywołanych agresją rosyjską,

\* Współkuratorzy wystawy *Muzeum Kresów w Lubaczowie*

przemieszczeń ludności, a także zagrożonego materialnego dziedzictwa kulturowego.

Wystawa powstała dzięki wsparciu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz powiatu lubaczowskiego. Patronat honorowy nad nią objęli Jego Ekscelencja ks. abp Mieczysław Mokrzycki, metropolita lwowski, Jego Ekscelencja ks. bp dr Marian Rojek, biskup diecezji zamojsko-lubaczowskiej, oraz Eliza Dzwonkiewicz, konsul generalny Rzeczypospolitej Polskiej we Lwowie.

Całość ekspozycji, którą zaplanowano w przestronnych wnętrzach Galerii Oficyna w Zespole Zamkowo-Parkowym przy Muzeum Kresów w Lubaczowie, zaaranżowano w taki sposób, aby z jednej strony oddać charakter transportowanych po wojnie przedmiotów, z drugiej zaś, aby ukazać przedwojenne i obecne wnętrza świątyni. Wśród autorów wystawy znaleźli się pracownicy lubaczowskiego Muzeum: historyk sztuki Janusz Mazur oraz historycy Piotr Zubowski oraz Dariusz Sałek, Katarzyna Warmińska-Mazurek, historyk sztuki z Muzeum Regionalnego im. Janusza Petera w Tomaszowie Lubelskim, Tomasz Róg, znawca historii regionalnej z Cieszanowa, a także ks. bp dr hab. Mariusz Leszczyński, biskup pomocniczy diecezji zamojsko-lubaczowskiej, wybitny specjalista w zakresie historii powojennej Archidiecezji Lwowskiej. Zespół ten opracował również liczące przeszło 200 stron bogato ilustrowane wydawnictwo towarzyszące ekspozycji, z którym, w wersji elektronicznej, można zapoznać się na stronie internetowej muzeum.

Na wystawie zaprezentowano liczne eksponaty ze zbiorów Muzeum Kresów w Lubaczowie oraz parafii rzymskokatolickiej pw. św. Wojciecha w Cieszanowie, a także zbiorów prywatnych.

„**Lwów – miasto świątyni**”, wprowadzającą część ekspozycji, poświęcono dziejom i sztuce kościoła pw. św. Marii Magdaleny na tle dziedzictwa sakralnego i kulturowego Lwowa. Ukazano tu powstanie, a następnie poszczególne fazy rozwoju architektury i wystroju świątyni. Murowany kościół, postawiony na miejscu drewnianej kaplicy św. Marii Magdaleny z 1600 r., zbudowany został w 1639 r. jako kościół seminaryjny i klasztor oo. Dominikanów. Zlokalizowany został na południe od centrum miasta, na Przedmieściu Halickim. Z wczesnej fazy

istnienia kościoła pochodzi stiukowy ołtarz główny, jedno z ważniejszych dzieł sztuki manierystycznej we Lwowie. W 1758 r. kościół zyskał trójnawowy korpus i dwuwieżową fasadę (architekt Marcin Urbanik). W XVIII w. świątynia otrzymała też bogaty, barokowy wystrój wnętrza. W 1765 r. przy kościele została erygowana parafia. Po skasowaniu klasztoru oo. Dominikanów (1784) w budynkach poklasztornych ulokowano szkołę trywialną im. św. Marii Magdaleny (1816), a następnie szpital choleryczny (1831) i więzienie dla kobiet (1841 r.). Ostateczny kształt otrzymał kościół w latach 1889–1890, kiedy to obydwie wieże zwieńczono neobarokowymi hełmami (arch. Julian Zachariewicz). W okresie polsko-ukraińskich walk o Lwów, w listopadzie 1918 r., obiekt został uszkodzony. Gruntownie odnowiono go w okresie międzywojennym, wzbogacając wyposażenie o jedne z najnowocześniejszych i największych organów na terenie Rzeczypospolitej, zakupione w czechosłowackim Karniowie, i nowy wystrój artystyczny. Jego symbolem na wystawie jest figura św. Elżbiety, niezrealizowany model rzeźby dla kościoła pw. św. Elżbiety we Lwowie autorstwa Janiny Reichert, artystki, która wykonała figury aniołów do nowego ołtarza głównego w kościele św. Marii Magdaleny. W takiej postaci świątynię zastał wybuch II wojny światowej.

„**Ekspatriacja Archidiecezji Lwowskiej**”, druga część wystawy, została poświęcona dziejom kościoła i parafii w okresie wojny i po zakończeniu II wojny światowej. W jej efekcie Lwów znalazł się poza granicami Polski i rozpoczęło się wielkie przesiedlenie ludności polskiej z Kresów Wschodnich na Zachód. Ekspatriacja objęła również dziedzictwo kulturowe związane z Kościołem rzymskokatolickim. Niezwykle ważnym wydarzeniem dla ziemi lubaczowskiej było, w tym kontekście, przeniesienie siedziby Archidiecezji Lwowskiej ze Lwowa do Lubaczowa, położonego nieopodal nowej, polsko-sowieckiej, a dziś polsko-ukraińskiej granicy. W 1946 r. Lubaczów, przez kolejne pół wieku, za sprawą wspomnianego abpa Baziaka, stał się depozytariuszem bogatych tradycji Kościoła rzymskokatolickiego w dawnej Archidiecezji Lwowskiej, która niemalże w całości znalazła się w granicach USRR. W samym mieście i okolicznych parafiach



zentowano zabytki historii i sztuki z kościoła pw. św. Marii Magdaleny we Lwowie oraz znajdującej się w jego pobliżu szkoły św. Marii Magdaleny. Znalazły się na niej m.in. przykłady malarstwa: kopia obrazu ołtarzowego „Św. Stanisław Kostka z Dzieciątkiem Jezus”, którego oryginał stworzył Stanisław Batowski w 1941 r., oraz obraz Matki Bożej Nieustającej Pomocy z 1902 r. – oba wizerunki z kościoła

schronienie znalazło wielu kapłanów, którzy uratowali ze Wschodu cenne przykłady dziedzictwa sztuki i kultury sakralnej.

**„Ze Lwowa do Cieszanowa. Ks. Józef Kłosa”**, kolejna część ekspozycji, dotyczyła sylwetki ostatniego proboszcza parafii pw. św. Marii Magdaleny – następcy zaangażowanego w działalność podziemia niepodległościowego i aresztowanego przez NKWD ks. Włodzimierza Cieńskiego (proboszcz w latach 1939–1940) oraz ks. dra Gerarda Szmyda (proboszcz w latach 1930–1938), któremu szczególnie bliski był rozwój młodzieży oraz uroczysta oprawa liturgii – przed jej zamknięciem na początku czerwca 1946 r. Kapłan, którego korzenie znajdowały się w podcieszanowskich Folwarkach, przed objęciem probostwa posługujący m.in. w Buczaczu i Żółkwi, był odpowiedzialny za akcję ewakuacyjną kościelnego wyposażenia. Wraz z nim trafiło ono przede wszystkim do parafii w Cieszanowie, w której ks. Kłosa pracował przez kolejnych trzydzieści lat. W przestrzeni wystawy zwiedzający mogli zapoznać się nie tylko z osobistymi dokumentami i przedmiotami duchownego, ale też z jego licznymi fotografiami, z pielgrzymki do Ziemi Świętej, nabożeństw, uroczystości kościelnych i szkolnych, gdyż poświęcił się on w szczególności pracy na rzecz młodzieży, m.in. jako katecheta, ale też duszpasterz katolickich stowarzyszeń młodzieży męskiej i żeńskiej oraz harcerzy. Obiektem tym towarzyszą wybrane książki, uratowane przez ks. Kłosa z bogatej biblioteki ks. dra Szmyda.

**„Ocalone dziedzictwo”** to najważniejsza i największa część wystawy, na której zapre-

zentowano kilkanaście niepowtarzalnych szat liturgicznych, przede wszystkim ornatów, różnorodnych pod względem technik wykonania i czasu powstania (najstarsze sięgające XVII w.). W ich kontekście warto zwrócić uwagę choćby na fragmenty pasów kontuszowych, które zostały wtórnie użyte jako elementy ornatów, stuł i manipularzy, wcześniej będąc charakterystycznym elementem męskiego stroju szlacheckiego, czy na bogactwo ornamentów i haftów. Wśród złotnictwa i naczyń liturgicznych zaprezentowano świeczniki, kielich, puszkę i krzyż ołtarzowy, najpewniej pochodzące z kościoła pw. św. Marii Magdaleny, a także monstrancję z 1765 r., ufundowaną prawdopodobnie do lwowskiej katedry łacińskiej, zwieńczoną figurą Matki Bożej i wysadzoną szlachetnymi i półszlachetnymi kamieniami. Uwagę zwracają pomoce szkolne, wykorzystywane na lekcjach religii przez ks. Józefa Kłosa: kolorowe tablice oraz szklane, kolorowe przeźroczka, nie tylko ze scenami religijnymi, ale też z przedstawieniami dzieł sztuki, misji ewangelizacyjnych i, przede wszystkim, ważnych historycznie wydarzeń, m.in. z czasów walk polsko-ukraińskich o Lwów i wojny polsko-bolszewickiej. Na wystawie zaprezentowano też elementy trzech drzewców od sztandarów, na których zachowało się przeszło 550 gwoździ z całą paletą nazwisk lwowskiej i kresowej inteligencji, m.in. prezydenta Lwowa Stanisława Ostrowskiego, wojewody stanisławowskiego gen. Stanisława Paślowskiego czy dowódcy Okręgu Korpusu

we Lwowie gen. Bolesława Popowicza. Ocalone dziedzictwo uzupełniają dokumenty, m.in. z czasów funkcjonowania parafii w czasie II wojny światowej, a także druki ulotne, liczne fotografie i plan zasięgu parafii pw. św. Marii Magdaleny z lat 30. XX w. Symbolem owego dziedzictwa, elementem najistotniejszym, spajającym narrację całej wystawy, a także łączącym Lwów z Lubaczowem i Cieszanowem, są także oryginalne, drewniane skrzynie ewakuacyjne, w których ks. Kłos transportował sakralne wyposażenie, z zachowanymi adnotacjami na wiekach i, również symbolicznym, zamalowanym czarną farbą napisem „Lwów”.

„**Po obydwu stronach granicy**”, czyli piąta, końcowa część ekspozycji, ukazała powojenną i obecną sytuację kościoła pw. św. Marii Magdaleny. Zarysowano tu trwający od ponad 30 lat spór o świątynię pomiędzy władzami miasta a wiernymi parafii. W 1946 r. kościół został przez władze sowieckie na krótko zamknięty, a następnie ponownie oddany wiernym. W 1962 r. zamieniono go jednak na klub studencki, salę sportową i taneczną; zniszczeniu uległ wówczas jego wystrój. W końcu lat 60. przejęło go Lwowskie Konserwatorium Muzyczne, a w 1988 r. zamieniono go na Dom Muzyki Organowej i Kameralnej. Taką funkcję, jako instytucja kultury miasta Lwowa, pełni po dziś dzień, a parafia może korzystać z sakralnego wnętrza jedynie w ograniczonym zakresie. Rodzi to ciągle konflikty, których znakiem są ławki z ruchomym oparciem (odchylanym w stronę ołtarza lub sceny, na której znajdują się organy), a także przesłaniane kurtyną w trakcie koncertów prezbiterium. W tej części ekspozycji głos zabierają polsko- i ukraińskojęzyczni wierni parafii, którzy opowiadają o swoich osobistych związkach z kościołem pw. św. Marii Magdaleny.



fot. Andrzej Rychlewski, ze zbiorów Muzeum Kresów w Lubaczowie

Aranżacje wnętrza uzupełnia film dokumentalny przygotowany przez Krystiana Kłysewicza. Zdjęcia do tego filmu powstały we Lwowie, Lubaczowie, Cieszanowie i Zamościu.

Wystawa, od momentu swojego wernisżu 21 sierpnia br., cieszy się niesłabnącym zainteresowaniem mieszkańców Lubaczowa i gości Muzeum. Osobiście zwiedzili ją m.in. abp Mieczysław Mokrzycki, metropolita lwowski, abp Wacław Depo, metropolita częstochowski, bp Marian Buczek, emerytowany ordynariusz diecezji charkowsko-zaporoskiej, oraz Eliza Dzwonkiewicz, konsul generalny Rzeczypospolitej Polskiej we Lwowie. Pod koniec września, dzięki wsparciu konsulatu, wystawę zaszczyliła swoją obecnością także blisko 50-osobowa grupa wiernych parafii pw. św. Marii Magdaleny z proboszczem o. Dawidem Omiecińskim OMI i wicekonsul Natalią Rudczyk na czele. Była to swoista pielgrzymka do korzeni, którymi lwowski Kościół i tworzący go ludzie związali się z Lubaczowem i Cieszanowem.



fot. Tomasz Michalski, ze zbiorów Muzeum Kresów w Lubaczowie

Franciszek Haber

# Ulica Łozińskiego

**Z**mieszkania przy ulicy Batorego 11 widoczna za skwerem ulica Łozińskiego (Hercena) biegnie do placu Akademickiego (Prospekt Szewczenki). Ulica jest niezbyt długa, kiedyś nazywała się Senatorska, gdyż Łozińskiego w dzisiejszym kształcie jeszcze nie istniała. W roku 1909 zaczęto jej przebudowę. Na mapie Lwowa z 1909 roku Senatorska zaczynała się u zbiegu Batorego i Pańskiej, skręcała w lewo i następnie w prawo, dobiegając do Romanowicza. Gdy zaczęto zabudowę terenu po dworku Fredry, przedłużono ulicę Senatorską na wprost do placu Akademickiego i zmieniono jej nazwę na Władysława Łozińskiego, który od roku 1906 był honorowym obywatelem miasta Lwowa. Reasumując: ulica Łozińskiego (dziśjsza Hercena) zaczyna się u zbiegu ulic Batorego (Kniazia Romana), Piłsudskiego (Iwana Franki) i Kochanowskiego (Lewickiego). Odchodzi od niej w lewo dawna ulica Senatorska, która zmieniła nazwę na Paderewskiego (1933–1946), obecnie nosi imię Jarosława Stecki.

Warto w tym miejscu poświęcić więcej uwagi patronowi ulicy. Władysław Łoziński (1843–1913) herbu „Lubicz”, historyk, powieściopisarz, redaktor m.in. *Gazety Lwowskiej* i *Kwartalnika Historycznego*, sekretarz Ossolineum, od 1906 roku honorowy obywatel miasta Lwowa. Miasto uchwałą Rady Miejskiej na jego cześć wybiło złoty medal. Władysław Łoziński większą część życia poświęcił na zbieranie dzieł sztuki, zabytków, pamiątek historycznych (zbroje, broń sieczna i palna, sztandary, godła wojskowe, regalia, ordeiry, klejnoty, kryształ, srebra, hafty,

meble, miniatury, portrety i in.). Nie sposób wymienić tysięcy cymeliów w jego zbiorach. Te zgromadzone skarby zostały przeniesione do Pałacu Łozińskich na ulicę Ossolińskich 1/3. Był to dawny Pałac Izabelli Dzieduszyckiej zbudowany w 1873 roku przez architekta Filipa Pokutyńskiego. Obecnie jest siedzibą Lwowskiej Galerii Sztuki.

Po śmierci Władysława, który został pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, zbiory przeszły na bratanka Walego Łozińskiego, który był kustoszem Biblioteki Uniwersyteckiej. Zbiory oddał jako depozyt wieczysty do Muzeum Narodowego im. Jana III Sobieskiego, a bibliotekę w depozyt Archiwum Państwowego i częściowo do Biblioteki UJK we Lwowie. W 1939 roku za sowieckiej okupacji część zbiorów rozgrabiono, a część wywieziono do ZSRR. Strona polska stara się z mizernym skut-



Pałac Łozińskich przy ulicy Ossolińskich 1/3, domena publiczna

Władysław Łoziński, domena publiczna



Grobowiec Łozińskich na Cmentarzu Łyczakowskim, domena publiczna

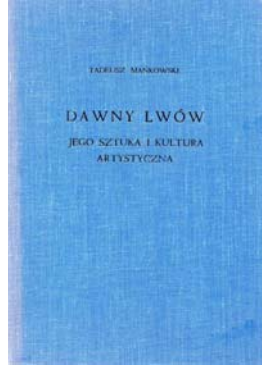


kiem o odzyskanie zagrabionych dóbr kultury należących do słynnych we Lwowie zbiorów Władysława Łozińskiego.

Ulica Łozińskiego nie imponuje swoją długością. To zaledwie dziesięć kamienic. Właścicielem Kamienic nr 1 i 3 na ulicy Łozińskiego był Zygmunt Hescheles. Dzisiaj cały front w tym miejscu zajmują parterowe kontenerowe sklepiki. Kamienica nr 2 jest trzypiętrowa z mansardą. Nad drugim piętrem bogaty gzyms z guttami, pod nimi kamienny, półokrągły balkon, dzisiaj mocno naruszony zębem czasu. Nad trzecim piętrem gzyms łamany, z bogatym nadokiennikiem. Nad parterem biegnie obłożony terakotą ozdobny wąski gzyms. Właścicielką kamienicy była Antonina Uwierca. Mieszkał tutaj profesor Tadeusz Kuczyński (1890–1945), technolog chemii nieorganicznej i elektrochemii technicznej z Wydziału Chemicznego Politechniki Lwowskiej. Prowadził badania dla spółki Towarzystwa Eksploatacji Soli Potasowych TESP w Kałuszu. Zaareztowany przez sowietów (styczeń 1945) i wywieziony do gwałtu zmarł w szpitalu w Woroszyłowgradzie. Jego żona Maria z domu Łozińska była spokrewniona z Władysławem Łozińskim. Mieli trzy córki, które po wojnie znalazły się na Śląsku. Janina była lekarzem w Katowicach, a Jadwiga i Maria pracowały na Politechnice Śląskiej, obie były adiunktami. Pielęgnowały pamięć o ojcu. W periodyku „Przemysł Chemiczny” opublikowany został artykuł Marii Kuczyńskiej i Stefana Pawlikowskiego o profesorze (1958). W 1990 roku w stulecie urodzin profesora Tadeusza Kuczyńskiego odbyło się w Gliwicach spotkanie rocznicowe poświęcone jego pracy

naukowej. Dzisiaj parter na Łozińskiego nr 2 zajmuje sklep *Euro Optyka*.

Kamienica nr 4 jest trzypiętrowa, z dwoma symetrycznymi wykuszami zwieńczonymi balkonami trzeciego piętra. Nad bramą wejściową balkony pierwszego i drugiego piętra. Fasada w ryzalitach, rozczłonkowana lizenami. Jednym z mieszkańców tej kamienicy był Tadeusz Mańkowski (1878–1956), znany historyk sztuki, muzealnik, prawnik. Pracował w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Lwowie. Podobnie jak Władysław Łoziński dokumentował nasze dziedzictwo artystyczne i w dwójnasób mu się to udało. Współpracował z Mieczysławem Gębarowiczem będącym z nim w wielkiej przyjaźni, razem w czasie wojny ratowali i zabezpieczali oraz ocalili część zbiorów nie tylko Ossolineum, ale również Biblioteki Baworowskich, Biblioteki Uniwersyteckiej i innych galerii lwowskich. Spora część tych zbiorów trafiła do wrocławskiego Ossolineum. Wiele jego prac pozostało w rękopisach. W 1974 roku ukazało się w Londynie nakładem Fundacji Lanckorońskich i Polskiej Fundacji Kulturalnej wiekopomne jego dzieło *Dawny Lwów, jego sztuka i kultura artystyczna*. W tej kamienicy mieścił się także konsulats Finlandii, a także Biuro Koncertowe Maksymiliana Türka. Było to jedyne Biuro Koncertowe miasta Lwowa. Urządzało ono mnóstwo koncertów najwybitniejszych artystów i zespołów świata. Wymienię tylko kilka słów wśród setek zapraszanych na przestrzeni ćwierćwiecza: Bronisław Huberman (1882–1947), skrzypek rodem z Częstochowy (grał na skrzypkach Stradivariusza podarowanych mu przez Jana hr. Zamojskiego), Jascha Heifetz (1901–



cza 8 (plac Mariacki). Ta potężna, licząca siedem pięter kamienica, zbudowana została w stylu biedermeier (1913–1921). Jego projektu jest także kamienica Jonasza Sprechera przy ulicy Akademickiej 7. Współtworzył z nim wzięty architekt Henryk Zaremba (1883–1954), które-



go nazwisko wiąże się ze sprawą jego gospodyni i kochanki Rity Gorgonowej oraz śmiercią jego córki 16-letniej Elżbiety (Lusi). Śledztwo oraz głośny proces doprowadziły go do załamania nerwowego i w rezultacie bankructwa firmy. Jak z tym zabójstwem było naprawdę, nigdy już się nie dowiemy. Mieszkał także w kamienicy pod 5 dr Stanisław Laskownicki (1892–1978) urolog, profesor UJK. Był on pierwszym docentem urologii w RP i pierwszym profesorem tej specjalności. Szkolił się w wielu klinikach europejskich, był pionierem wielu technik stosowanych do dzisiaj w urologii i jednym z twórców urologii polskiej. Jako ciekawostkę podam, że operował wielu sławnych ludzi, m.in. Ignacego Mościckiego (1867–1946), chemika, prezydenta RP (1926–1939), Ludwika Hirszfelda (1884–1954), bakteriologa i immunologa, twórcę polskiej szkoły immunologicznej, 95-letniego Ludwika Solskiego (1855–1954), aktora i reżysera.

Neogotycka kamienica nr 6 (1912) wybudowana została według projektu architekta Jana Bagieńskiego (1883–1967), wykładowcy Politechniki Lwowskiej, i inżyniera Wojciecha Dembińskiego. Wykusz, podparty półkolumną międzyziemienną parteru, sięga do trzeciego piętra zwieńczonego balkonem, który jest w stanie daleko posuniętej destrukcji. Z lewej strony fasady znajdują się balkony pierwszego i drugiego piętra. Okienko strychowe tworzy biforium. Budynek wieńczy wydatny gzyms dachowy. Właścicielem kamienicy był Joachim Baczes, adwokat. Znajduje się tutaj witraż z panoramą Karpat, zaprojektowany na całą wysokość klatki schodowej i liczący 11 m wysokości. Został wykonany w renomowanym zakładzie Żeleńskich w Krakowie. Firma Żeleńskich

Tadeusz Marzkowski (1878–1956), autor książki „Dawny Lwów”, domena publiczna

dr Stanisław Laskownicki (1892–1978), domena publiczna

1987), wirtuoz urodzony w Wilnie, Nathan Milstein (1903–1992), urodzony w Odessie, zaliczani do najwybitniejszych skrzypków XX wieku, Artur Rubinstein (1887–1982), pianista urodzony w Łodzi, geniusz fortepianu. Biuro Koncertowe, jak widać, naprawdę starało się o gwiazdy pierwszej wielkości z firmamentu muzyki. Zresztą Lwów był zaliczany do najmuzykalniejszych miast polskich. Po śmierci właściciela kamienicę przejęli Maria Łozińska oraz Konrad Łoziński, inżynier. Znane były w okolicy kapelusze, których sprzedaż prowadziła tutaj Janina Czaplicka. Dzisiaj zaprasza Bank Prywatny – Centrum Obsługi VIP-ów.

Kamienica czynszowa nr 5 Władysława Langego została zbudowana w latach 1938–1939 według projektu znanego lwowskiego architekta Ferdynanda Kasslera w duchu modernizmu.

Ferdynand (Feiweł) Kassler (1883–1942) był początkowo przedstawicielem stylu neobarokowego, potem empire, a wreszcie modernizmu. Bardzo znana jest kamienica Jonasza Sprechera na placu Adama Mickiewi-



Kamienica Łozińskiego nr 5, domena publiczna





działa do dziś. Witraż składał się z około 70 różnych kolorów (niebo, góry, rzeka itp.) i liczył ponad 500 barwnych szkielek. Już kilka lat temu był w stanie zwiastującym rychły koniec. Zaledwie najwyższa, prawie niedostępna jego część ocalała. Ponoć ostatnio został zdemontowany, ale w jakim celu (renowacja czy likwidacja), nie wiadomo. Architekt Jan Bagieński tworzył w duchu neoklasycyzmu, a po 1920 roku – funkcjonalizmu. Wśród wielu znanych jego budowli warto wymienić kamienice secesyjne z elementami klasycyzmu z ulicy Ludwika Nabelaka (Iwana Kotlarewskiego), o numerach 12, 37, 37a, zbudowane wspólnie z inż. Wojciechem Dembińskim. Pod nr 6 na trzecim piętrze mieszkała Maria Kelles-Krauzowa (1873–1943), profesor Szkoły Muzycznej Malwiny Reyssówny, prowadząca klasę fortepianu i zajęcia teoretyczne w szkole przy ulicy 29 Listopada pod nr. 70. Szkoła, jedna z siedmiu szkół muzycznych zatwierdzonych przez ministerstwo, należała do nielicz-



Reklama prasowa z: „Dziennik Ludowy” 1933, nr 236, s. 7 domena publiczna



Reklama prasowa z: „Muzyka” 1924, R.1, nr 2, s.102, domena publiczna

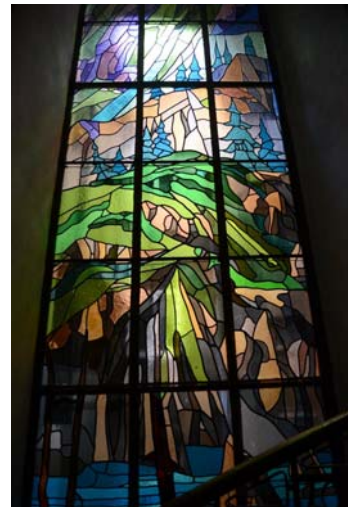
A miał z ulicy Sapiehy 59 (Bandery), gdzie mieszkali państwo Kilarowie, na 29 Listopada nr 70 (Konowalca) bliźniutko. Niedawno na fasadzie domu przy Sapiehy 59 pojawiła się tablica z brązu upamiętniająca naszego kompozytora. Mieszkał tu także Rudolf Lorenz, który był urzędnikiem bankowym. Dzisiaj na Łozińskiego 6 ma swoje gabinety klinika stomatologii „Kogut & Kogut”.

Na rogu ulicy Senatorskiej, później Paderewskiego (1933–1946), dzisiaj Jarosława Stecki, biegnącej do ulicy Romanowicza, dzisiaj Saksahańskiego, stoi budynek nr 7, zbudowany w 1906 roku w stylu zakopiańskim, według projektu znakomitych architektów Alfreda Zachariewicza (1871–1937) i Józefa Sosnowskiego (1865–1940), przedstawicieleli historyzmu i modernizmu, autorów wielu znakomitych budowli Lwowa, m.in. banków

dla Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i Izby Przemysłowo-Handlowej oraz gmachu PKO, także dworca kolejowego we Lwowie wg projektu Władysława Sądowskiego, budowanego przez firmę Pierwsze Krajowe Przedsiębiorstwo Robót Żelazobetonowych Józefa Sosnowskiego



Maria Kelles-Krauzowa (1873–1943), domena publiczna



i Alfreda Zachariewicza. Byli współautorami słynnego pasażu Mikolascha zbombardowanego w 1941 roku oraz wielu zakładów przemysłowych i budowli miasta. Wracając do budynku nr 7, to Polski Dom Akademicki im. Adama Mickiewicza, słynny „Łoziniec”. Mieściła się tutaj Czytelnia Akademicka, dzisiaj Hotel Uniwersytetu Lwowskiego, w którym miałem okazję gościć nocować.

Przed wojną było to siedlisko młodych radykałów narodowej demokracji o wydźwięku antysemickim. Bywał tutaj Mączyński, dowódca obrony Lwowa z 1918 roku, a także, cofając się do słynnej obrony miasta przez „Lwowskie Orleńta”, zorganizowano w tym miejscu punkt zborny (w ostatnich dniach października) studentów mobilizujących się do obrony miasta (1–11 listopada 1918). Było to zgromadzenie polskich środowisk wojskowych, któremu przewodniczył kpt. Mączyński. Stąd wyszedł (31.10.1918) pierwszy patrol obrońców miasta pod dowództwem podchorążego Andrzeja Battaglii, studenta uniwersytetu, który pierwszy oddał życie w obronie Lwowa. Na fasadzie tego domu znajdował się Krzyż Obrony Lwowa, usunięty po 1939 roku. Również była tutaj herbaciarnia, którą zorganizowało Towarzystwo Bratniej Pomocy studentów Politechniki Lwowskiej (1918–1939). Już przed pierwszą wojną światową mieścił się w suterrenach Domu Akademickiego klub szermierczy. Odbywały się tutaj nawet krwawe pojedynki na szable, o czym wspomina profesor Stanisław Laskownicki, nestor urologów pol-

skich w swojej książce wspomnieniowej *Szpada Bagnet Lancet* wydanej przez Ossolineum w 1970 roku. Budynek jest czterokondygnacyjny, parter boniowany, podokienniki pierwszego piętra tworzą ujęte w ramy girlandy, okna parteru wysokie, łukowe w manierze klasycyzującej. Dzisiaj budynek odnowiony i w miarę zadbane.

Właścicielką kamienicy nr 8 była Ludwika Landes. Dzisiaj to odnowiona 6-kondygnacyjna kamienica, z balkonem pierwszego piętra i nad nim wykuszem sięgającym piątego piętra, z mansardowym oknem strychu. Obok wykuszu kamienne balkony. To hotel „Nobilis”. Ulice Łozińskiego i Fredry biegną obok siebie w kierunku placu Akademickiego. Praktycznie więc budynki posadowione na tych działkach mogą mieć wejścia albo z Łozińskiego, albo Fredry. Tutaj akurat obydwie budynki, o których za chwilę, mają wejścia główne od strony ulicy Fredry. Hotel „Nobilis” ma wejście od Fredry nr 5. To hotel – jak podaje informator na hotels.com – luksusowy, pięciogwiazdkowy, w pięknie wyremontowanej starej kamienicy, oddany do użytku w grudniu 2011 roku. Od strony Łozińskiego również prezentuje się znakomicie. Przyciąga uwagę na balkonie pierwszego piętra zegar w towarzystwie pary muzyków oraz stara kuta secesyjna brama prowadząca do hotelu.

Następna kamienica, z wejściem od Fredry nr 7, to neogotycka kamienica wybudowana na miejscu, gdzie stał dworek Aleksandra Fredry (1793–1876), w 1911 roku, a projektowali ją architekci Stanisław Ulejski i Karol Richtman. Potężny wykusz nad bramą wejściową (od ulicy Fredry), obejmujący dwa piętra, flankują kolumny korynckie, z boków fasady kamienne balkony pierwszego i drugiego piętra, z prawej wyrasta z pierwszego balkonu półkolumna wspierająca wachlarzowo kamienny półokrągły balkon z maswerkową balustradą. Wykusz wieńczy balkon trzeciego piętra. Okna upiększają



Andrzej Battaglia (1895–1918) pierwsza ofiara obrony Lwowa, domena publiczna

Łozińskiego 7 – słynny „Łoziniec” z Krzyżem Obrony Lwowa, domena publiczna



Ul. Łozińskiego nr 8 (Fredry nr 5) hotel Nobilis, Wikipedia



Portret Wandy Diamand – Aleksander Krzywobłocki (1930), domena publiczna

maswerki. Ściana parteru rustykalna. Tylna elewacja kamienicy zwrócona jest na ulicę Łozińskiego, teoretycznie nr 10. Potężny wykusz obejmuje trzy piętra i flankowany jest na każdym z nich kamiennymi balkonami, część okien tworzy biforia z maswerkami. Pod parterem grubo cięta rustyka. Wykusz wieńczy attyka z pinaklami, zewnętrzne mają formę smukłych baszt. Parapet parteru w formie skośnego kamiennego gzymsu. Warto wspomnieć, że Karol Richtman, zapalony automobilista, zaprojektował m.in. kino „Corso” niemalże stojące po sąsiedzku na ulicy Akademickiej 28 i budynek lwowskiej filii Wiedeńskiego Banku Związkowego na ulicy Jagiellońskiej 3. Specjalnie zaprojektowaną tu na poddaszu pracownię malarską zajmowali (1911–1914) artyści Kazimierz Sichulski oraz Mikołaj Iwasiuk. W latach 30. miała tutaj pracownię Wanda Diamand, zajmowała się fotografią artystyczną (była członkiem Lwowskiego Towarzystwa Fotograficznego

– LTF), prowadziła salon literacko-artystyczny, w którym gościła malarzy, m.in. Brunona Schulza. Mieszkali w tej kamienicy: dr Marek Damański, urolog, prowadził poradnię urologiczną PKP, po wojnie był jednym z pionierów neurologii w Anglii, oraz dr Rudolf Ostermann, adwokat. Z lewej strony bramy wejściowej między oknami parteru znajduje się płaskorzeźba (M. Posikira) upamiętniająca malarza Mikołaja Iwasiuka.

Kamienica Łozińskiego nr 9 należała do Joachima, Zofii, Maurycego i Laury Baczesów. To narożny budynek z ulicą Senatorową. Mieszkali tutaj znani lekarze: dr Ludwika Landes-Leinerowa, rentgenolog, biorąca czynny udział w naukowym piśmiennictwie medycznym, oraz dermatolog dr Zygmunt Sawicki, podpułkownik Wojska Polskiego, który był komendantem 6. Szpitala Okręgowego we Lwowie (1935–1939) przy Łyczakowskiej 26, ofiara zbrodni katyńskiej. Dzisiaj tutaj mają siedziby: UKR Sibbank

Ul. Łozińskiego (Hercena) widok od strony placu Akademickiego, domena publiczna

Widok z placu Akademickiego na ulicę Łozińskiego i Fredry, domena publiczna



Kawiarnia Szkocka róg Łozińskiego i Fredry przed wojną, domena publiczna



Zbigniew Brochwicz-Lewiński (1877–1951), domena publiczna

BNP Paribas Group, notariusz oraz firma zajmująca się nieruchomościami.

Kamienica na rogu Łozińskiego i Romanowicza przynależy do Romanowicza nr 1. Przedwojenna numeracja to plac Akademicki nr 3. Do dzisiaj stiukowa trójka ma się dobrze w ozdobnym łuku z festonem nad bramą wejściową. To secesyjna kamienica z 1907 roku zaprojektowana przez architekta Alfreda Zachariewicza i Józefa Sosnowskiego. Szeroki gzyms obiega cały budynek, skromna dekoracja fasady, narożne balkony, na pierwszym piętrze kamienny, na drugim z żelazną, secesyjną balustradą. Przed wojną był tutaj konsulat Łotwy. Dzisiaj jest redakcja magazynu *Fizyka* oraz Biblioteka wydziału Biologii UL.

Kamienica na rogu ulic Łozińskiego i Fredry miała adres plac Akademicki 9, a obecnie Prospekt Szewczenki 27. To kamienica Emila Wecklera zbudowana w latach 1908–1909 wg projektu Zbigniewa Brochwicza-Lewińskiego (1877–1951). Modernistyczna w swoim wyrazie budowla z półbasztami na narożnikach mieściła w swoich murach słynną we Lwowie kawiarnię „Szkocką” (1909–1939), która związana była ze lwowską szkołą ma-

tematyków. Klatkę schodową zdobią secesyjne witraże z 1910 roku, wykonane w krakowskim zakładzie witraży Żeleńskich (projekt H. Uziembło). Zachowała się ich część. Obecnie jest to hotel Atlas Delux, oddany do użytku w 2011 roku. Od ulicy Fredry zaprasza kawiarnia Szkocka, od ulicy Łozińskiego Universal Bank. Wracając do Zbigniewa Brochwicza-Lewińskiego, był znanym architektem, malarzem, dyplomowanym pułkownikiem kawalerii Wojska Polskiego II RP, i Polskich Sił Zbrojnych, kawalerem Orderu Virtuti Militari. Oprócz domu z kawiarnią Szkocką, znany jest, zbudowany według jego projektu, budynek lwowskiej dyrekcji kolei przy Zyguntowskiej 1 (Gogola).

Ulica Senatorska (Paderewskiego, Stećki) miała także swoich godnych pamiętania mieszkańców. Do kamienicy Łozińskiego 9 przylega kamienica Senatorska nr 3. Mieściło się tutaj prywatne sanatorium ginekologiczno-położnicze „Salus”. Właścicielami byli Panek i wspólnicy. Dzisiaj jest poliklinika.

Senatorskiej nr 5 (z roku 1911) szyku dodają umieszczone na fasadzie płaskorzeźby autorstwa Henryka Kunzeka. Mieszkali tutaj dr Jan Opieński (1864–1938), pediatria,

Kącik matematyków w kawiarni Szkockiej i Stefan Banach, domena publiczna



Ul. Łozińskiego (Hercena) i Fredry z widokiem na kawiarnię Szkocką, Wikipedia



Profesor Franciszek Groër (1887–1965),  
domena publiczna

działacz społeczny i oświatowy, działacz Polskiego Towarzystwa Opieki nad Kresami, prezes Towarzystwa Higienicznego, członek zarządu Lwowskiej Izby Lekarskiej, i profesor UJK Franciszek Groër (1887–1965), który przeprowadził się na Romanowicza nr 8. Został tam zaaresztowany przez Niemców

w noc 3 lipca 1941 roku wraz z kilkudziesięcioma polskimi profesorami wyższych uczelni Lwowa; uwolniono go jako jedyne go z grupy profesorów zamordowanych tej nocy na Wzgórzach Wuleckich, być może na skutek interwencji wysokiego rangą Niemca. Profesor Franciszek Groër, kierownik Kliniki Pediatricznej Wydziału Lekarskiego UJK we Lwowie (1919–1939), to lekarz, który ma wiele zasług na niwie Eskulapa. Warto w tym skromnym esejku o tym wspomnieć. Gdy praktykował w Wiedniu w klinice pediatricznej Klemensa von Pirqueta (1874–1929), jako młody lekarz, zajmując się alergią i odczynem tuberkulinowym, odkrył spazmolityczne działanie adrenaliny. Gdy rozpoczął pracę we Lwowie, stworzył pierwszą w Polsce szkołę pielęgniarzek pediatricznych. W lwowskim Domu Podrzutków im. Dzieciątka Jezus na ul. Paulinów utworzył klinikę zdrowego dziecka i oddział wcześniaków. Był członkiem Amerykańskiej Akademii Przeciwgruźliczej i kilku innych. W 1931 roku otrzymał nagrodę fundacji Theodora Sachsza za prace w dziedzinie gruźlicy. Był pionierem w badaniach, na skalę światową, transfuzji krwi u noworodków ze skazą krwotoczną (1939). To właśnie on odkrył czynnik przeciwkrwotoczny, określając go mianem czynnika AHF. Po wysiedleniu ze Lwowa w 1946 roku, mieszkał w Krakowie, w latach 1948–1951 był prorektorem Śląskiej Akademii



Reklama firmy Żeleńskiego w kawiarni Szkockiej,  
domena publiczna

dr Jan Opieński – siedzi z lewej wśród ekspertów na procesie Rity Gorgonowej, domena publiczna



Medycznej w Zabrze. Dzięki jego działaniom ruszyła akcja masowych szczepień przeciwgruźliczych w kraju. Przez wiele lat dojeżdżał do Warszawy, pełniąc funkcję kierownika Oddziału Pediatricznego Instytutu Gruźlicy w Otwocku, a następnie kierownika Oddziału Gruźlicy Instytutu Matki i Dziecka w Warszawie (1951–1961) i także był jego dyrektorem. Dopiero rok przed emeryturą prominenci ówczesnego reżimu przyznali mu mieszkanie w Warszawie. Był także prezesem Polskiego Towarzystwa Pediatricznego. W dorobku naukowym pozostawił ponad dwieście prac naukowych, wiele z nich o pionierskim przekazie, drukowanych w wielu językach, a sam profesor znał ich dziewięć. Był mecenasem sztuki i muzyki, zajmował się fotografią artystyczną. Niewielka liczba osób pamięta, że w latach 1931–1933 był dyrektorem administracyjnym Opery Lwowskiej. Był również członkiem Nadzwyczajnej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich. Jest pochowany na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Pisząc o profesorze Franciszku Groërze, należy wspomnieć także doktora Artura Chwalibogowskiego, który mieszkał przy Senatorkiej vel Paderewskiej pod nr. 11a. Artur Chwalibogowski (1899–1964), zanim skończył studia, walczył w wojnie polsko-bolszewickiej. Po obronieniu doktoratu w 1926 roku pogłębiał swą wiedzę medyczną



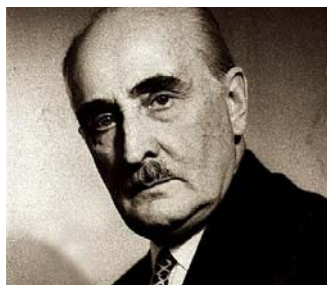
Profesor Artur Chwalibogowski (1899–1964) – dzięki uprzejmości Akademii Medycznej w Katowicach,  
domena publiczna

Państwowy Szpital Powszechny we Lwowie – fot. A. Lenkiewicz (1888–1941), domena publiczna



Czesław Mączyński dowódca obrony Lwowa w 1918 roku, domena publiczna

w Klinice Pediatrii prowadzonej przez prof. Franciszka Groëra. Ordynator Oddziału Wewnętrznego dla Dzieci Państwowego Szpitala Powszechnego we Lwowie. Szef Kliniki Pediatrii w Śląskiej Akademii Medycznej, twórca Śląskiej Szkoły Pediatrii. Pochowany został na cmentarzu w Katowicach, gdzie spoczywa razem z żoną również lekarką. Jego uczennicą i następczynią była profesor Bożena Hager-Małecka nazywana nestorką polskiej pediatrii.



Profesor Mieczysław Gębarowicz (1894–1984), domena publiczna

Przy ul. Senatorskiej 9 mieszkał przez 52 lata wybitny historyk sztuki prof. Mieczysław Gębarowicz (1894–1984), który trwał w tej kamienicy do końca życia. Ostatni lwowski dyrektor Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, któremu zawdzięczamy wiele ocalonych zbiorów z Ossolineum we Lwowie. Opiekował się nim aż do śmierci ojciec Paweł (prof. Henryk Mossing), kiedyś bliski współpracownik i zastępca profesora Weigla. Był księdzem potajemnie wyświę-

conym i do śmierci niezdemaskowanym przez Sowietów. Na ścianie budynku została uroczystie odsłonięta tablica (20 grudnia 2018) upamiętniająca wielkiego naukowca z okazji 125. rocznicy jego urodzin. W odsłonięciu tablicy brali udział m.in. konsul RP Rafał Kocot oraz Wasyl Fersz tej dyrektor Lwowskiej narodowej Naukowej Biblioteki Ukrainy im. W. Stefanyka (Ossolineum).

Natomiast przy Senatorskiej nr 7 mieszkał komendant obrony Lwowa z 1918 roku Czesław Mączyński, polityk II Rzeczypospolitej, poseł na Sejm RP, często zaglądający do Czytelni Akademickiej na Łozińskiego nr 7, gdzie spotykał wielu podkomendnych z czasów obrony Lwowa.

Na pożegnanie z lwowskim esejem rzut oka z placu Fredry na ulicę Łozińskiego, ulicę Fredry i słynną kawiarnię Szkocką.



Tablica upamiętniająca profesora Mieczysława Gębarowicza, domena publiczna



Plac Fredry (plac Akademicki) Lwów, domena publiczna

Adam Wierciński

# O kresowej mitologii i ignorancji

**D**aniel Beauvois, wybitny uczyony znad Sekwany, który tyle wie o Europie Środkowej i Wschodniej i tyle rozumie, od czasu do czasu próbuje pisać historię od nowa, zabawia stroniczego publicystę i poucza polskich historyków i historyków literatury, jak mają pisać o przeszłości; zwłaszcza o polskiej obecności na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. Wspomina ciągle o szalejącej ponoć w Polsce *kresomanii*, o idealizacji przeszłości i o grzechu kolonializmu. A tak! O grzechu kolonializmu, jakiego się miała dopuścić polska szlachta na ziemiach kresowych.

Przypomniał ostatnio niektóre wywody historyka Piotr Zychowicz: *Kolonizatorem miała być polska szlachta, a ludami kolonizowanymi litewscy, białoruscy i ruscy chłopci. Do polskiej debaty publicznej tezę tę wprowadził na dobre francuski historyk Daniel Beauvois, autor – skądinąd bardzo ciekawego – monumentalnego dzieła „Trójkąt ukraiński”. Według profesora Polacy stworzyli mit „fałszywej arkadii”. Czyli wyidealizowany, sielankowy świat Kresów (Piotr Zychowicz, *Nie byliśmy kolonizatorami!*, „Do Rzeczy”, 2021, nr 16, s. 17). I ciągnął dalej polemista: *Jeżeli chodzi o Wielkie Księstwo Litewskie, to teza o „polskiej kolonizacji” jest chybiona. W kraju naszym na palcach jednej ręki można było policzyć majątki należące do rodzin, które przybyły na Litwę z Korony [było ich więcej: Brzozowscy, Chrzastowscy, Dąbrowscy, Gawrońscy, Godlewscy, Jankowscy, Jasiońscy, Komorowscy, Przeździeccy – przyp. A.W]. Aż do wielkich rosyjskich konfiskat popowstaniowych w XIX w. ziemia na Litwie należała do szlachty litewskiej* (ibidem, s. 18).*

Przesadza prof. Beauvois z tą polską kolonizacją, zapomina, że także ruscy panowie kolonizowali ziemie wschodnie Rzeczypospolitej. Bywało i tak, że „polski pan” bywał spolszczonym kulturalnie kniazem

czy bojarem ruskim, a „niepolski chłop” – zrutenizowanym zbiegiem znad Wisły, a czasem i schłopiałym zagonowcem z Mazowsza czy Podlasia. Polszczyli się na Rusi (tak Koronnej jak i Litewskiej) bojarowie tamtejsi, a rutenizowali często włościanie i szaraczkowie z Korony. Zbiegostwo i osadnictwo na ziemiach ruskich nie zawsze było dobrze widziane w dawnej Polsce. Przypominał Władysław Wielhorski: *Pęd uchodźczy znad Wisły, zwłaszcza ludu wiejskiego i mieszczan, był tak silny do końca XVI w., że Sejm Rzplitej powziął w tym okresie kilka dzieł o konstytucji, zakazujących ucieczki na Ukrainę włościan i stanowiących surowe kary na „przywabiaczy” cudzych poddanych. Mimo tego „Ziemie Środkowej Polski” z nieobliczalną stratą dla siebie wprost pustoszały* (Władysław Wielhorski, *Ziemie Ukrainne Rzeczypospolitej. Zarys dziejów* [w:] „Pamiętnik Kijowski”, t. 1, Londyn 1959, s. 27).

A zbiegowie nie zawsze zajmowali się – jak wmawiają za szybko piszący historycy – pomnażaniem „zdobyczy polskiego pługa i miecza”. Z czasem przechodzili na prawosławie, tracili język i świadomość pochodzenia od Lachów. Komentował ten proces Wielhorski: *Zbiegowie, lub ich potomstwo, najczęściej już zrutenizowane, brało udział w wieku XVII w walkach Kozaków przeciw Rzplitej oraz przeciw miejscowym wielkim panom, wnosząc do nich temperament, nie mniej zapałny, niż Kozaków miejscowych, rodowitych Rusinów* (ibidem, s. 25).

Tłumaczył kilkadziesiąt lat temu Paweł Jasienica: *Czytało się nieraz w przeszłości, czyta i za dni naszych dość uproszczone wywody na temat „zasług pługa polskiego” w tamtych stronach. Dawniej się je sławiło, a teraz pisze, że chłop ruski orał rolę polskiego pana i na tym polegać miała istota sprawy. W rzeczywistości bywało czysto wręcz przeciwnie – parobek był Polakiem, pan Ukraińcem. [...] Teza o kolonialnej eksploatacji Ukrainy przez Polskę wygląda nieco dziwnie, skoro Korona zainwestowała w Ruś to, co najcenniejsze – ludzi. Tysiące uchodźców z Nadwiśla przestało być Polakami na zawsze* (Paweł Jasienica, *Rzeczpospolita Obojga Narodów*. Część pierwsza: *Srebrny wiek*, wyd. 2, Warszawa 1982, s. 211–212).

Nie milczeli polscy historycy o konfliktach na ziemiach ruskich Rzeczypospolitej, o egzizmie klas posiadających rozpisywali

się pisarze i uczeni nie tylko w czasach posłusznego dziejopisarstwa. Ale, jak zauważył Janusz Tazbir: *Nie znaczy wcale, że trzeba bez reszty dawać wiarę Danielowi Beauvois, który w swej „ukraińskiej trylogii” (wydanej później w jednym tomie „Trójką ukraiński”...) poświęconej okresowi zaborów, dał obraz stosunków pomiędzy polskim dworem a ukraińską wsią utrzymany niemalże w duchu „Chaty wuja Toma” (Janusz Tazbir, Rola Kresów w dziejach Rzeczypospolitej, [w:] idem, Pokuszenie historyczne. Ze świata szabel i kontuszy, Łomża 2012, s. 38).*

Od „kolonizacji” należy odróżnić osadnictwo polskie, zarówno włościańskie, jak i drobnoszlacheckie na ziemiach litewskich i ruskich. Pisała Jolanta Sikorska-Kulesza: *Drobna szlachta na dawnych kresach wschodnich Rzeczypospolitej wywodziła się z miejscowych bojarów, uszlachconych chłopów oraz przybyszów z Korony. [...] Obok ludności rodzimej znaczną część drobnej szlachty stanowili potomkowie imigrantów z Mazowsza i Podlasia, przybywających szczególnie licznie po unii lubelskiej w poszukiwaniu lepszych warunków życia na rozległych i słabo zaludnionych ziemiach Wielkiego Księstwa Litewskiego. Część szlachty kupowała lub otrzymywała ziemię na własność, biedniejsi już wówczas osiadali w dobrach magnackich na czynszu (Jolanta Sikorska-Kulesza, Deklasacja drobnej szlachty na Litwie i Białorusi w XIX wieku, Warszawa 1995, s. 10–11).*

Wychodźcy z Mazowsza i Podlasia stawali się z czasem, co oczywiste, Litwinami, Litwinami w Mickiewiczowskim tego słowa znaczeniu. Polakami spod znaku Pogoni. Niektórzy z nich poparli litewskie odrodzenie narodowe w XIX wieku. Paradoksy historii. Zygmunt Gloger rozprawił dawno temu o osadnictwie drobnoszlacheckim: *Przypatrzmy się tylko szczegółowej karcie Inflant i Białej Rusi, a znajdziemy nad Dźwiną i za Dźwiną kilkanaście wiosek zwanych „Mazury”; przejrzyjmy nazwiska wszystkiej szlachty litewskiej, a napotkamy wśród niej np. Zambrzyckich i wielu innych, których gniazda leżą w powiecie Zambrowskim; połowa szlachty ziemi Bielskiej na Podlasiu przybyła w wieku XV z ziemi Łomżyńskiej i Ciechanowskiej... (Zygmunt Gloger, Dawna Ziemia Łomżyńska, Warszawa 1876, s. 17).*

Dzisiejsi Litwini, noszący takie nazwiska, jak *Babinskas* (Babiński), *Brežinskas* (Brzeziński), *Karpavičius* (Karpowicz), *Kučinskis* (Kuczyński), *Močiūskis* (Moczulski), *Pietrauskas* (Piotrowski), *Popluskas* (Popławski), *Puluskas* (Pułaski), *Raguskas* (Rogowski), *Sakuskas* (Sakowski), *Skladuskas* (Skłodowski), *Truskuskas* (Truskowski), *Varpuchauskas* (Warpechowski), *Vaškėvičius* (Waszkiewicz), mogliby poszukać śladów swoich przodków na Podlasiu, w dawnej Ziemi Bielskiej.

\* \* \*

Balamutne zdanie ze sławnej, cenionej, a nawet przecenionej powieści: *Otóż cesarzowej [Marii Teresie], odkąd trafiły jej się w rozbiorez Polski ziemie w Galicji [sic!] i część Podola, marzy się wielkie cesarstwo po Morze Czarne, po greckie wyspy (Olga Tokarczuk, Księgi Jakubowe..., Kraków 2022, Wydawnictwo Literackie, s. 180).*

Nikomiu nie zadrżała ręka, kiedy składano to kuriozalne zdanie o *ziemiach w Galicji [sic!]*, które miały się trafić cesarzowej. Ziemia w krainie, której jeszcze wtedy nie było! Trzeba było ją dopiero stworzyć i nazwać. Galicja powstała przecież z łaski Marii Teresy i jej usłużnych historyków, którzy przypomnieli sobie o Rusi Halicko-Włodzimierskiej, pozostającej kiedyś pod wpływem Węgier. Po pierwszym rozbiorez utworzono Królestwo Galicji i Lodomerii (*Galizien und Lodomerien*) z części polskich województw: krakowskiego, sandomierskiego, ruskiego, bełskiego, wołyńskiego i podolskiego. Bezkarci redaktorzy wmawiają czytelnikom, i to przy milczącej zgodzie konsultanta historycznego, tyle już razy, w tyłu dodrukach, że znana pisarka mogłaby nie wiedzieć, jak się nazywa świątynia mużulmańska (s. 607) i jak się odmiańia przez przypadki powszechnie znane nazwy miejscowe (feminizacja Smotrycza i *genetivus rusticus* w odmianie nazwy miasta leżącego w historycznej Mołdawii).

Zapomniane cnoty redaktorów, kastygatorów i innych książkorobów.

\* \* \*

Mylenie czasów przestrzeni i języków: *Największe czeskie sieci spożywcze wycofują rosyjskie produkty, w tym wódkę. Boykot dotknął także „ruské zmrzliny”, czyli kanapki*





Widok dawnego Stanisławowa

lodowe w wafelku, który poza nazwą, podobnie jak w przypadku ruskich pierogów [sic!], nie mają nic wspólnego z Rosją Putina (Łukasz Grzesiczak, *Nie wszyscy są jak Putin*, [w:] „Przegląd”, 2022, nr 15, s. 42).

Pierogi ruskie nie mają nic wspólnego ani z Rosją Putina, ani z Rosją carów. Pochodzą z Rusi Czerwonej związanej od połowy XIV wieku do 1772 z Królestwem Polskim; jeszcze na początku XX wieku późniejsi Ukraińcy nazywali się Rusinami, a swój język nazywali ruskim. Tak więc *ruské zmrzliny* są rosyjskie, ale ruskie pierogi – ukraińskie. Co innego *ruské* po czesku, a co innego *ruskie* w niedawnej polszczyźnie. Nawiasem: królowie polscy byli też wielkimi księżętami litewskimi i księżętami ruskimi.

\* \* \*

Budzi czasem zdumienie nieznamość historii. Aż trudno uwierzyć w niektóre doniesienia prasowe. Jak to o uczniu, który tłumaczył kilka lat temu, dlaczego król Jan II Kazimierz składał sławne śluby (1 IV 1656) aż we Lwowie: *Polska znajdowała się wtedy pod szwedzką okupacją, dlatego Jan Kazimierz śluby musiał składać we Lwowie na Ukrainie* (zob. Karol Młot, *Pałką historii w łeb*, „Historia bez cenzury”, 2017, nr 4, s. 7).

Nie wiedział młody człowiek nic o Rusi Czerwonej ani o województwie ruskim na południowym wschodzie, nie wiedział i o tym, że Ukrainą nazywano wtedy Kijowszczyznę przede wszystkim, ziemię leżącą na wschód

od Wołynia i Podola. Jałta, widać, wszystko przestoniła.

A ktoś inny na łamach cenionego dziennika zadawał kłam samemu Sienkiewiczowi: *I zapominamy, że w rzeczywistości Jan Kazimierz nie składał swoich ślubów na Jasnej Górze [sic!], tylko we Lwowie. Niby mały szczegół, a znaczący. „Trylogia” jest wspaniała, ale nie można na niej kończyć edukacji historycznej, że o religijnej nie wspomnę (Niech papież zobaczy naszą głupotę. Z o. Józefem Puciłowskim rozmawiają Małgorzata Skowrońska i Michał Olszewski, „Gazeta Wyborcza”, 2016, nr 171, s. 15).*

Po co mylić Sienkiewicza z Jerzym Hofmanem? To w filmowym *Potopie* nie było ślubów w katedrze lwowskiej z przyczyn od reżysera niezależnych; w powieści wszystko było na swoim miejscu. Sienkiewicz miałby mylić Lwów z Częstochową? Wolne żarty. Ale listów do redakcji nie było, czigodny rozmówca swoich wzmowień nie odwołał.

Mylenie postaci, mylenie krain geograficznych. Ktoś Berdyczów (tam kościół i klasztor Karmelitów, obraz NMP po częstochowskim i wileńskim najbardziej znany na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej; tam ks. Marek i konfederaci barscy, sławne kalendarze przez tyle lat wydawane i jarmarki; stolica bałagutów, centrum chasydów wołyńskich; długi żywot w przysłowiu; pisał Słowacki: „wtenczas po włosku: addio! / Po polsku: pisuj do mnie na Berdyczów”; w tamtejszym kościele pw. św. Barbary w 1850 roku brał

ślub Balzac z Ewelina Hańską, a kilka lat później urodził się tam Józef Teodor Konrad Korzeniowski, w przyszłości znany pisarz angielski – Joseph Conrad) został przeniesiony, nie wiedząc dlaczego, na Podole: *Kiedy Konrad Korzeniowski urodził się dnia 3 grudnia 1857 roku w Berdyczowie, na Podolu, które stanowiło integralną część Rzeczypospolitej Obojga Narodów, Polski od wielu lat nie było na mapie Europy. Podole, podobnie jak inne ziemie zabrane, wchodziło w skład imperium rosyjskiego* (Stefan Zabierowski, *Joseph Conrad-Korzeniowski i sprawa niepodległości Polski*, „Arcana”, 2017, nr 3, s. 173).

O Podolu austriackim, nazywanym też galicyjskim i trembowelskim, autor zapomniał. A Berdyczów, położony niedaleko Żytomierza, w dawnej Polsce należał do województwa kijowskiego, w czasie zaborów bywał w guberni wołyńskiej i kijowskiej (od 1844 r.), ale nigdy nie zaliczano go do Podola. Tłumaczył Zygmunt Gloger: *Żytomierz np. i Owrucz uważano za miasta wołyńskie, choć leżały w województwie Kijowskiem. I rzeczywiście Wołyń sięgał daleko w głąb województwa Kijowskiego, a nawet Podolskiego i Braclawskiego, nie posiadając tam żadnych ścisłych, tak fizycznych jako i etnograficznych granic* (Zygmunt Gloger, *Geografia historyczna ziem dawnej Polski*, Kraków 1900, reprint: Kraków 1985, s. 232).

Przykład mimowolnej (?) megalomanii narodowej. Recenzent książki Wojciecha Orlińskiego o Stanisławie Lemie wyjaśniał: *Źródła są bogate: dwa wywiady rzeki z Lemem, korespondencja, wspomnienia syna Tomasza Lema czy powieść [ściślej: opowieść wspomnieniowa – przyp. A.W.] autobiograficzna „Wysoki Zamek” (tak nazywał się kopiec usypany przez Polaków [sic!] we Lwowie. Jednak przeszłość Lema z czasu II wojny światowej była pełna tajemnic i sprzeczności* (Michał R. Wiśniewski, *Lem odkodowany*, „Gazeta Wyborcza”, 2017, nr 1.78, s. 15).

Takie ogromne wzgórze z parkiem, ulubione miejsce spacerowe lwowian (frywolna piosneczka z czasów jeszcze austriackich: *Na Wysokim Zamku / siedzi ułan z mamką*), mieliby usypać Polacy. To brzmi! Tego by pewnie i sam Wojciech Dembołęcki nie wymyślił. To brzmi tak, jakby ktoś napisał, że przodkowie naszych sąsiadów z południa, w czasach kiedy istniało państwo wielko-

morawskie obejmujące i Kraków, usypali Wawel. A nasi Górale w dawnych czasach, w chwilach wolnych od pasionki i zbójowania, usypali Giewont.

Wysoki Zamek to nazwa naturalnego wzniesienia we Lwowie. Stał tam zamek książąt ruskich, a potem zamek wzniesiony przez Kazimierza Wielkiego. W latach sześćdziesiątych XIX wieku, z inicjatywy Franciszka Smolki, zaczęto obok ruin zamkowych sypać Kopiec Unii Lubelskiej. Coraz mniej zostaje w pamięci zbiorowej.

\* \* \*

A późny wnuk Gombrowicza tak się przejął polityczną poprawnością polityczną i powracającym ponoć *syndromem kolonialnym w stosunku do ULB* (Ukraina, Litwa, Białoruś), że aż mapę poruszył i pomylił kierunki, przeniósł Wołyń z południowego wschodu na północ. Łatwowiejniej i cierpliwiej dziennikarce tłumaczył: *W dyskursie tym nie ma jednak miejsca na pytanie, skąd Polacy wzięli się na Wołyniu. Na tym północno-wschodnim [sic!] kawałku Polski w 1939 roku Ukraińcy stanowili prawie 70 proc., Polacy – 16, a Żydzi – niecałe 10* (Dryfujemy. Z prof. Przemysławem Czaplińskim rozmawia Dorota Wodecka, „Gazeta Wyborcza”, 2017, nr 94, s. 7).

Dziennikarka słuchała z uwagą, choć mogłaby sparafrazować Dziennikarza z *Wesela* i spytać: *Wiecie choć, gdzie Wołyń leży?* Mogłaby też zażartować, że skoro takie wołyńskie miejscowości jak Luboml, Kowel czy Czartorysk leżą na tej samej szerokości geograficznej co Wrocław, to Dolny Śląsk leży zapewne na północnym zachodzie! Mogłaby też spytać, dlaczego jej rozmówca nie zastanowił się, skąd się wzięli na Wołyniu Rusini-Ukraińcy, Żydzi, Rosjanie, Niemcy, Czesi czy Karaimi. A etnogeneza Polaków wołyńskich to proces bardzo skomplikowany. Nie pojawili się tam za *tak zwanych koszmarnych czasów sanacji* (jak zwyczaj z języka propagandzistów pokpiwać Antoni Słonimski); mieszkali tam od dawna. Osadnictwo wojskowe po I wojnie światowej nie było tak liczne, w latach 1930–1932 gospodarowało tu 3658 osadników (Janina Stobniak-Smogorzewska, *Osadnictwo wojskowe na Kresach Wschodnich [w:] Z Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej. Wspomnienia z osad wojskowych 1921–1940*, Londyn 1992, s. 13). A przed wiekami polszczyli się tam Rusini

i rutenizowali Polacy. Jak to zwykle bywało na szerokim pograniczu kultur, wiar i języków.

O skomplikowanych procesach, jakie zachodziły na ziemiach wschodnich, z dużą znajomością rzeczy rozprawił Jan Stanisław Bystron: *Kto tu osiadał? Stosunki były niepewne, więc i osadnictwo różne przechodziło koleje losu; w każdym razie żywioł pol-*



skiego weszło w Ruś bardzo dużo. Osiadali tu więc przede wszystkim uczestnicy kresowych wojen, którzy stopniowo obozy wojskowe przekształcali w osady kolonizacyjne, sprowadzono tu całymi wsiami ludność poddańczą z ziem rdzennej Polski, przychodzili tu chętnie bardziej przedsiębiorczy mieszczańscy, aby dorobić się majątku w zmiennej koniunkturze [...] Nie pytano, kto zacy i skąd się wziął; kto przybył, dostawał ziemię i pracował dla siebie i dla pana [...] Granice pomiędzy żywiołem polskim i ruskim były płynne; nie było tu jeszcze pojęć narodowościowych, nie było wśród ludności ruskiej świadomości plemiennej. Podstawowymi wyznacznikami społecznymi był stan i religia. Szlachcic był zawsze Polakiem, chociażby i po polsku nie umiał; Polakiem był także i rzymski katolik. Rusinem unita czy ortodoks [...] Ale też ruszczały szybko liczne zastępy osadników polskich, osiadłych wśród ludności ruskiej; wchodzili oni w stosunki z sąsiadami, zawierali związki małżeńskie, ulegali urokowi bogatej kultury ludowej; nawet drobna szlachta zapominała czasem o swych tradycjach i rozpyływała się w morzu ruskim, co dopiero ludność włościańska! Brakło w okolicy kościoła katolickiego, to do cerkwi uczęszczano i dzieci na grecki obrządek zapisywano, nawet na prawosławie. Asymilacja ta dokonywała się żywiołowo, szybko, niepostrzeżenie, była ona następstwem ciągle dokonywanego się procesu zmian społecznych; polonizacja i rutenizacja, dokonywane się stałe i równorzędnie, były tylko zewnętrznym wynikiem tych zmian (Jan Stanisław Bystron, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek*

XVI–XVIII, t. 1, wyd. 3, Warszawa 1976, s. 43–44, 46).

Ale wyznawcy poprawności politycznej o tych procesach sprzed wielu wieków zapewne nie pamiętają, mówią i piszą za dużo i za szybko. Zapominane dziedzictwo kresowe. Za trudne do ogarnięcia nawet dla zawodowych strażników pamięci. I stąd tyle różnych postaw wobec tego ciągle za mało poznanego dziedzictwa. Od tromtadracji (dyskusje jałowe wokół ikonografii w nowych paszportach) do niebywałej ignorancji: Załucze nadniemeńskie przeniesione aż nad górny Nil, Wołyń na północnym wschodzie, Berdyczów na Podolu, a Równe aż na Zakarpaciu. *Na zielonej Ukrainie, / Gdzie hiszpański żyje lud.*

\* \* \*

Kilka za szybko napisanych zdań w dodatku historycznym do gazety o dużym nakładzie. Skomplikowane stosunki polsko-ukraińskie miały przedstawiać tak: *Na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej Polacy są na ogół szlachtą, Ukraińcy (do początków XX w. określaniani jako Rusini) – chłopami. Konflikty – społeczny, religijny i narodowościowy – nakładają się na siebie, co tworzy wyjątkowo niebezpieczną mieszaninę wybuchową. Nie zapominając o rzezi wołyńskiej, musimy uprzytomnić sobie dość oczywisty fakt, że przez ogromną większość czasu to Polacy tak czy inaczej dyskryminowali Ukraińców, a nie odwrotnie (Maciej Janowski, *Bez niepodległej Ukrainy...*, „Ale Historia”, 2018, nr 1, s. 12).*

Różnie bywało na ziemiach ruskich Rzeczypospolitej. Inaczej na Rusi Czerwonej,

inaczej na Wołyniu, a jeszcze inaczej na Braclawszczyźnie czy na Kijowszczyźnie. Nie zawsze konflikty społeczne, religijne i narodowościowe nakładały się tam na siebie. Polski pan bywał tam często spolszczonym kniazem czy bojarem ruskim, a niepolski chłop – zrutenizowanym włościaninem polskim, a niekiedy i zdeklasowanym, drobnym szlachcicem, przybyszem z Korony. Zresztą, nie tylko Polacy osiedlali się na Rusi. Henryk Litwin przypominał, że: *Wśród Koronarzy również zdarzali się Rusini, a przecież występowały przykłady rutenizacji szlachty polskiej. Migracja ludu herbowego na Ukrainę nie miała więc jednoznacznie polonizacyjnego charakteru* (Henryk Litwin, *Napływ szlachty polskiej na Ukrainę 1569–1648*, Warszawa 2000, s. 152). Paweł Jasienica o kierunkach migracji: *Magnat ukraiński ciągnął na zachód, chłop polski na wschód. Drugi z tych prądów był dość masowy, pierwszy elitarny, lecz za to powszechny* (Paweł Jasienica, *Rzeczpospolita Obojga Narodów. Srebrny wiek*, Warszawa 2007, s. 208).

Płynne były na Rusi granice między odmiennymi nacjami i żywiołami. Syn ruskiego kniazia i Mołdawianki z hospodarskiego rodu, który przeszedł na katolicyzm dopiero w dwudziestym roku życia, stał się znanym polskim magnatem, obrońcą całości ziem Rzeczypospolitej (Jeremi Wiśniowiecki); jego syn Michał Korybut Wiśniowiecki zostanie królem Polski. Kilka wieków później, przed I wojną światową, polski ziemianin z Wołynia, Wacław Lipiński (1882–1931), wybrał z całą świadomością narodowość ukraińską i zaczął się podpisywać jako Wiaczesław Łypynskij. A syn osadnika niemieckiego i polskiej szlachcianki został wybitnym pisarzem ukraińskim (Iwan Franko). Pisał nie tylko po ukraińsku, ale też po niemiecku, po polsku i po rosyjsku. Na pytanie niektórych rodaków, dlaczego pisze również po polsku, odpowiadał krótko: *Bo umiem*.

Po co powtarzać mity utrwalane przez wczorajsze podręczniki. W powiatach tarnopolskim, skałackim i trembowelskim, gdzie kilkadziesiąt lat temu większość mieszkańców podawała podczas spisu język polski jako ojczysty, nie mieszkała przecież tylko polska szlachta! Na szerokim polsko-ruskim pograniczu w ciągu tylu wieków polszczyli się Rusini, ruszczyli Polacy. Paradoxy historii.

Nikt nie policzył, ilu polskich włościan rozplynęło się w ruskim otoczeniu przez wieki. Polacy nosili tam niekiedy nazwiska ruskie (ukraińskie), Rusini – polskie; ich potomkowie żartują czasem przy spotkaniu, że mogliby się zamienić nazwiskami. Gdybyż to pamiętali o tym za szybko piszący o „kolonizacji”, „polonizacji” czy „ekspansji” i „diskryminacji”.

Nie było tam nigdy prostych podziałów, nie można zatem powtarzać z taką pewnością, że *przez ogromną większość czasu to Polacy tak czy inaczej dyskryminowali Ukraińców, a nie odwrotnie*. Zapomniane studia i rozprawy Aleksandra Jabłonowskiego, Jana Stanisława Bystronia czy Aleksandra Brücknera, ciągle za mało znane prace współczesnych badaczy, choćby Henryka Litwina czy Natalii Jakowenko. Przytomne uwagi Janusza Tazbira: *Warstwy rządzące Rzeczpospolitą równie mało przejmowały się rutenizacją polskiego chłopca, który osiedlając się na Ukrainie przejmował nie tylko obyczaje i wyznanie, lecz także język tamtejszej ludności, co i uporczywym trwaniem przy niemieckim mieszkaniom Prus Królewskich* (Janusz Tazbir, *W pogoni za Europą*, Warszawa 1990, s. 157).

Po co utrwałać stereotypy, po co ta mitologizacja. Po co dzisiejsze pojęcia przenosić w przeszłość. Mania samobiczowania nie służy poznaniu. Pisał kiedyś Tazbir o unii brzeskiej (1596 r.), przypomniał poglądy niektórych historyków rosyjskich, którzy utrzymywali, że unia ta przyczyniła się do polonizacji niedawnych prawosławnych, wynaradawianie Rusinów miało się dokonywać pod przymusem. Brutalnym, jakże inaczej? Dowodził historyk, że było to jeszcze jedno wzmówienie: *Jest to podobny mit historyczny jak twierdzenie, iż powstania kozackie były walką uciskanych, wyłącznie ruskich chłopów z czysto polską magnaterią. W istocie zaś słabo nieraz spolonizowani królewęża kresowi musieli się ścierać z poddanyimi, wśród których sporą część stanowili zbiegowie z ziem etnicznie polskich. Postępy, jakie czyniła wśród nich rutenizacja (czy – jak kto woli – ukrainizacja), należy zaś chyba w jakiejś mierze przypisać właśnie unii* (Janusz Tazbir, *Polska na zakrętach dziejów*, Warszawa 1997, s. 88).

Zapominane dziedzictwo kresowe. Bywa za trudne do ogarnięcia nawet dla zawodowych strażników pamięci.

Mariusz Olbromski



## *Pod Pałacem Kultury*

Serhijowi Żadanowi

Zapada zmierzch, dogasa już żar dnia,  
poeta dziś w stolicy mówi o Charkowie.  
O tym jak nocą widzi z wysokiego bloku  
kiedy po tamtej granic bliskiej stronie  
tryskają rakiety – lecą – mało czasu:  
ryk syren, schody, bieg do schronu.

Huk! I Znowu ktoś ginie, jakiś cywil ranny  
jęczący, lecz rano życie toczy się na nowo.  
Działają sklepy, na podwórkach dzieci,  
choć opodal jeszcze nowe gruzy płoną.

I czyta wiersze w rytmie i natchnieniu,  
w bólu, miłości, grozie. I pokorze.  
Powtarza czasem strofy jak zaklęcia.  
I bije słowem – głosu dźwiękiem  
w Jerycha mury – tłucze. Wie, że runą  
wcześniej lub później z tego natężenia.  
Od głosu-bicia wielu serc złączonych.

Warszawa, 17 VIII 22

Wiersze pochodzą z tomu *Przemina dymy,  
rozkwitną róże. Wiersze o walczącej Ukrainie*

## *Gdy miasto się budzi*

Ani Gordijewskiej

Po mieście lwów i pagórków chodziliśmy  
dziś w długiej telefonicznej rozmowie  
i czułem radość, że trwają tam znajome  
twarze, zaułki starówki, świetne budowle,

a słońce kładzie na stare bruki dłonie  
i złotem tkane kobierce art deco tworzy,  
pozdrowia na fasadach maszkarony.  
Rozświeca Sławy laur nad teatru gmachem,  
zagląda w bramy, na podwórka – widownie  
codziennosci – i przywołuje dawne i obecne  
głosy, kiedy Wysoki Zamek w rzekach  
światła brodzi jak żuraw po wielkiej powodzi.

I wszystko jest co tylko żyć i istnieć potrafi.  
Ze starych świątyni leci pogłos modlitw,  
przy Pani Łaskawej tęczą się anioły,  
a pod błękitny płaszcz opieki Jej przychodzą  
ciągle nowe sprawy i nowe zdarzenia,  
a często jakże trudne w ten czas wojny.

## *Rok Schulza*

Wierze Meniok

Miał być godny, lecz znów te same cienie  
wstają, które zmroczyły jego oczy  
i przemieniły miasto, drohobycką ziemię  
Ponury pochód kroczy ich codziennie.

Znowu ktoś strzela do artysty...  
skryte mogiły – rany na ludzkości  
lilie – kwiaty aniołów – na odkryte worki  
lilie – kwiaty aniołów – na odkryte zwłoki  
strumienie żalnych modlitw pod obłoki.

Wciąż w Drohobyczu z porcelany spokój,  
tablica na chodniku lśni po deszczu,  
tylko po nocach budzi syren głos wysoki.

Rano przy domu Schulza pod oknami  
w kryształach rosy żonkile i stokrotki,

a jego wizje – słowem – pędzłem zatrzymane  
nadal rosną – przez pokolenia dalej kroczą.

Otwiera ciągle drzwi na inne światy  
postaci – sceny – których nikt nie dotknie.

III 22

Sławomir Gowin

# Rozrywkowy imperator

**W XX wieku uczynił z restauracji miejsce prestiżowe i kulturalne. Jego *opus vitae*, nieistniejąca od ośmiu dekad warszawska „Adria”, wciąż brzmi echem dawnego kultu. Za najwyższe prawo uznał słowa z Księgi Koheleta, które kazał umieszczać w swoich kuchniach: „Bo nic dla człowieka lepszego pod słońcem, niż żeby jadł, pił i doznawał radości”.**

**W**ieczysty bohater barwnej legendy międzywojnia, Franciszek Dawid Moszkowicz, urodził się w 1873 roku we Lwowie. Skromna żydowska familia nie dawała widoków na sukces wart więcej niż grosz ciułany pośród codziennej wrzawy Krakidałów. Początek kariery finansowej Franza (tak nazywano go we Lwowie), przyszłego pupila stołecznych elit, jest zatem frapująco mglisty. Zaprzyjaźniony z nim Kazimierz Krukowski wspomni w tomie *Moja Warszawa*, że ów „lwowianin z krwi i kości rozpoczął swoją karierę jako sprzedawca papierosów w kawiarniach i kabaretach rodzinnego miasta. Potem zaawansował na pikolaka, kelnera, »starszego«, aby wreszcie

stać się właścicielem kilku kawiarni i nocnych lokali we Lwowie, Krakowie i Warszawie”. Krukowski, czyli sławny Lopek, pisał to po drugiej wojnie, opowiadał zatem o postaci wtedy już mitycznej, której się uważnie do kieszeni nie zagląda, sycąc wyobraźnię apetyczną baśnią o karierze „od pucybuta do milionera”.

Nieco wcześniej, bo w 1934 roku – Moszkowicz podbił wtedy Warszawę – Józef Mayen na łamach żydowskiego dziennika „Chwila” nazywał go „królem lwowskich kawiarni”, którego „przedsiębiorczość i ruchliwość przyczyniła się przez szereg lat do rozwoju kawiarnianej kultury Lwowa”. Mayen, nim poświęcił się dziennikarstwu, był niezłym aktorem, zalety Moszkowicza ubarwiał więc z oratorskim fasonem: „zmieniał te kawiarnie tak jak bon vivant zmienia swoje przyjaciółki. I jak prawdziwy bon vivant potrafił te zmiany przeprowadzać z obopólną korzyścią dla swych kawiarni-kochanek. Umiał każdą z nich odpowiednio lansować, odpowiednio postawić i na jakiś czas zabezpieczyć jej przyszłość”.

Zatem ów zaiste prześwietny lwowianin w pamięci współczesnych ukazuje się jako urodzony pieszczoł opatrności, podczas gdy w rzeczywistości ścieżka do fortuny bywa kamienista. Nie inaczej było w jego przypadku.

## Arcypikolak

Franz spośród żydowskiej dzieciarni szukającej szansy na miedziaka wśród ciżby handełosów wybił się wcześniej, podejmując znacznie lepiej rokującą posadę pikolaka w kawiarni „Teatralna”. W jeden organizm połączono tam restaurację, kawiarnię, czytelną prasę, nocny klub i swoistą miejską agorę. Udało się to tym łatwiej, że lokal działał całodobowo i, co nie mniej ważne, mieścił się w budynku teatru Skarbka, a więc w samym sercu miasta, dwa kroki od Krakidałów. Pikolak w „Teatralnej” był personą i bardziej niezbędną, i znacznie bardziej uniwersalną niż w zwyczajnej knajpie. Tu, jeśli był bystry i wygadany, szybko stawał się zaufanym goń-



Franz Moszkowicz

cem, powiernikiem większych i mniejszych sekretów, poślącem informacji cennych dla klienteli wszelakiej konduity, która przewijała się w ciągu doby przez lokal. Jeśli przy tym nie gubił się w meandrach tego nadzwyczajnego rezerwuaru przedsiębiorczości, jakim był pobliski krakowski rynek (wspomniane Krakidały) i dzielnica żydowska, to rychło mógł stać się trybikiem napędzającym niejednego interesik. Młody Moszkowicz, człowiek zaprawdę „wyznania handlowego”, wykorzystał te możliwości z wielkim talentem.

Sukces oparł na umiejętności pozyskiwania i inwestowania pieniędzy tam, gdzie solidny żydowski kapitał nie zawsze mógł lub chciał działać otwarcie. Nie szło tylko o prestiż. Bywa, że za wielką szansą podąża niemałe ryzyko, tymczasem szanowany kapitalista żydowski wystrzegał się etykiety ryzykanta, plałta zaś w jakimś interesie, nawet jeśli nie rujnująca, życiorysu bynajmniej nie dekorowała. Pieniądże drzemały też w szkatułach zamożnych ortodoksów, którzy chętnie unikali pouczeń rabina, powierając kapitałik rzutkiemu menadżerowi. Ten korzystnie angażował ich gotowiznę w branże, których rebe pewnie nie uznaliby za godne pobożnego Żyda. Franciszek Dawid wolał poddać się raczej boskiemu oburzeniu, niż trwać w bogobojnej biedzie.

Moszkowicz zręcznie zawierał znajomości, budził przy tym zaufanie, prowadząc interesy czysto, ale odważnie, czasem brawurowo. Powiadało, że zmienia szare na złote. Dopuszczał „świeżej krwi” w geszefty stare jak świat, równocześnie porywając się na całkiem nowatorskie, z pozoru szalone pomysły. I tak oto w latach 1902–1913 był między innymi współwłaścicielem modnej kawiarni „Europejska”, urządzonej na rogu Jagiellońskiej i 3 Maja, pod numerami 5–7 (w tym budynku również mieszkał), w 1911 objął także istotne udziały w pobliskiej kawiarni „Warszawa” przy placu Smolki. Ale w 1907 roku był też współnikiem korporacji taksówkarskiej we Lwowie, podczas gdy w mieście i okolicach zarejestrowanych było... pięć samochodów!

## Patrycjusz i satyr

Przełom stuleci – aż do wybuchu I wojny – to w Galicji czas sporego ożywienia w gospodarce. Lwów pielęgnował swój sto-



Casino de Paris

łeczny anturaż, w którym ambitni przedsiębiorcy poczynali sobie coraz śmielej. Płynąc na tej fali, Moszkowicz 1 marca 1910 roku uruchomił „Casino de Paris”, najślawniejszy w owym czasie przybytek lwowskiej rozrywki. Okazała i efektowna kamienica, wzniesiona przy ulicy Rejtana 3 (a więc o krok od mieszkania Moszkowicza), mieściła cały kompleks restauracyjno-rozrywkowy z pokojami hotelowymi i świetnym zapleczem dla występów artystycznych.

„Gazeta Lwowska” entuzjastycznie relacjonowała otwarcie obiektu, który trudno było wówczas jednoznacznie przedstawić – restauracja, teatr, dom rozrywki, kasyno towarzyskie, klub gastronomiczny? Nikt wcześniej nie próbował zmieścić tak wiele, na tak niewielkiej parceli. Pisano więc nieco wymijająco: „miejsce niezbyt rozległe, wyzyskano bardzo umiejętnie, stwarzając całość pod względem architektonicznym istotnie piękną”. Chwalono zwłaszcza salę widowiskową: „niezbyt wysoka, z gotyckim sklepieniem, bogato polichromowana, inkrustowana rzeźbami również w charakterze staroniemieckim, nabiera dopiero właściwego życia w blasku lamp elektrycznych”. Parter wypełniały stoliki, wokół głównej powierzchni rozmieszczono łoże tworzące dyskretny

krużganek – wszystko to miało służyć za widownię i restaurację zarazem. Zdobienia malarskie wyszły spod ręki Zygmunta Balaka, wziętego w owym czasie dekoratora teatrów Skarbkowskiego i Wielkiego. Rzeźby wykonał Franciszek Bernat, artysta często angażowany przez architektów pracujących we Lwowie, kamienica Moszkowicza należy jednak do jego najwybitniejszych osiągnięć. Sensację budziła kurtyna pędzla Feliksa Wyrzywalskiego. Utrzymane w orientalnej manierze malowidło przedstawiało dekadenczną wizję bachanaliów. „Na łące pełnej fioletowych i żółtych irysów – referowała »Gazeta Lwowska« – pod gajem piniowym, a w pobliżu morza, które na ostatnim planie się znaczy, w postaci półleżącej odpoczywa patrycjusz rzymski, stary już, z twarzą satyra, z resztką biesiadnego wieńca na łysej głowie, a wokół niego tańczy sześć bachantek, przekomarzając się z nim i jakby drwiąc, że bachanalia już go z nóg ścięła. Siódma bachantka przygrywa na piszczałce”. Sensacja kryła się rzecz jasna w tym, że ów upadły satyr do złudzenia przypominał... Franza Moszkowicza.

Na inaugurację zaproszono wpływowych rajców miejskich, elity liczących się profesji, finansjery, prasy, luminarzy lwowskiej kultury i – o to Moszkowicz szczególnie zabie-

gał – żony co znacześniejszych osobistości. „Program wieczoru, elegancki i urozmaicony, zyskał ogólne uznanie – donosiła »GL«. – Całość trzymana była w tonie dyskretnym i nie raziła trywialnością, co jest dobrą wróżbą na przyszłość i rokuje temu przedsiębiorstwu powodzenie”.

## Lwów to on!

Realizacja tego pomysłu pociągnęła za sobą fortunę i, aby osiągnąć wróżone przez „Gazetę Lwowską” powodzenie, Moszkowicz musiał poszerzyć grono tych, którzy jadal i pijali w lokalach. Zdawać się mogło, iż Lwów ma tak ugruntowane zasady „bywania”, że zmieniają się, gdy „na cytadeli będą kwitneli moreli”. Lwowskie kawiarnie należały głównie do mężczyzn, „na mieście” jadal także oni. W bufetach, pokojach śniadaniowych, jatkach, szynkach i droższych, przeważnie hotelowych restauracjach, jeśli spotykano kobiety lub rodziny, były to „wypadki specjalne”. Nie istniał zwyczaj rodzinnego spędzania czasu „po knajpach”, porządne „lwowskie państwo” żywiło się w domu. Moszkowicz musiał zatem wywołać małą rewolucję obyczajową, miał bowiem nadzieję na lepsze wykorzystanie czasu pracy swoich zakładów, ożywiając martwe dotąd godzi-



Casino Lwów



ny, kiedy lokale świeciły pustkami, choćby w niedzielne popołudnia. Ponadto w jego mniemaniu ta męska dominacja ograniczała rozwój, czyniła ofertę monotonna, sprowadzała aspiracje restauratora do prostego wyszynku, opartego ostatecznie na „wódce i zakąsce” w późnowieczornych godzinach. Franz chciał zarabiać cały dzień, wystawiając „efektywny rachuneczek” za „efektowną robótkę”. Dostrzegając wielki potencjał w konsumenckiej kreatywności córek i żon zamożniejszych lwowian, dlatego pilnie zabiegał o aplauz szacownych dam.

Jego restauracja miała być miejscem kulturalnym par excellence. Artystyczny kabaret we Lwowie w tym czasie zaledwie się tworzył, błagając się, póki co, raczej „za parawanem”. Nierzadko zdarzało się, że w jakimś szynku czy tingel-tanglu ktoś występował, jednak w repertuarze bliższym bruku niż salonu. Moszkowicz jako pierwszy zapraszał do „Casino” zarówno kameralne zespoły filharmoników, jak i gwiazdy kabaretów artystycznych, operowe i operetkowe divy obok renomowanych tancerzy i komików. Reklamował swoje programy jako „familijne” tak skutecznie, że wkrótce bywanie wieczorami w lokalach stało się zwyczajem statecznego mieszczaństwa i inteligencji. Franciszek Moszkowicz, zgodnie z przewidywaniami „Gazety Lwowskiej”, na przekór sceptykom z branży, mógł się uważać za „króla lwowskich kawiarni” i bezkonkurencyjnego wizjonera.

Wizja twórcy „Casino de Paris” zmieniała się z czasem. Moszkowicz miał niezawodny „słuch rynkowy”, na kilka lat zmienił nazwę na „Teatr Bagatela”, a w latach 20. usłyszał wszechobecny „jazz band” i postawił na taniec, który zresztą sam lubił i w swojej karierze współpracował z najlepszymi muzykami rozrywkowymi epoki. Kiedy we Lwowie powstała rozgłośnia radiowa, pierwsze muzyczne transmisje prowadzono właśnie z „Bagateli”. Atmosferę tamtych lat świetnie oddaje Krukowski, który poznał Moszkowicza w czasie występów „Qui Pro Quo” we Lwowie w roku 1927. „Znalazłem się w towarzystwie Mundka [Emanuela] Szlechtera w wytwornym nocnym lokalu »Bagatela«. Nie zdążyliśmy jeszcze usiąść przy stoliku, a już kelner, nie proszony, postawił na stole butelkę francuskiego koniaku. Pamiętam jak dziś, »Meukowa« z czerwoną kapsłą.



Franz Moszkowicz – Adria

Zdziwiony, zapytałem go, kto zamawiał ten dość drogi na ówczesne czasy trunk. Odpowiedział krótko: – Gospodarz! – Jaki gospodarz? – Pan Moszkowicz. – Kto to jest pan Moszkowicz?

– Ta nie strugaj pan dobrodziej ze mnie wariata... – usłyszałem zamiast odpowiedzi. – Pan nie wie, kto Moszkowicz?

Mundek Szlechter szepnął mi do ucha: – To właściciel »Bagateli«.

– No dobrze, ale dlaczego stawia koniak? W tym momencie przy stoliku zjawił się sam Franciszek Moszkowicz. Nie przedstawiając się i nie witając, powiedział krótko: – Panie Krukowski, pan jesteś gościem we Lwowie, a Lwów to ja!”

## Wielki rejs

Po 1918 roku stołeczną energią odzyskiwała Warszawa. Rodzić warto się było „tylko we Lwowie”, jak po latach w słynnej piosence zapewni wspomniany Emanuel Szlechter, ale wielkie kariery jeździło się robić w Warszawie. Moszkowicz także poruszał się coraz dalej od „starego Lembryczka”. „Pieniądz jest niespokojny”, powiadano w tamtych czasach. Franz wchodził zatem w rozmaite aliansy w Krakowie, Zakopanem, Rabce – jednak wszystkie drogi wiodły go do stolicy. Kiedy na przełomie lat 20. i 30. wydawać się mogło, że „pieniądz już nie

żyje”, skutki światowego kryzysu mordowały kolejne branże, pod komorniczym młotkiem padali następni „aferzyści”, Franz postanowił wypłynąć ze Lwowa wprost na – nomen omen – Adriatyk.

W 1929 roku działające na terenie Polski włoskie towarzystwo ubezpieczeniowe „Riunione Adriatica di Sicurtà”, zgodnie z przepisami fiskalnymi część zysków lokujące w Polsce, zbudowało przy ulicy Moniuszki w Warszawie gmach, w którym parter i podziemia zamierzało przeznaczyć na działalność usługową.

Poszukiwano odpowiedniego partnera i pomocną dłoń wyciągnął zaprzyjaźniony z Włochami Bolesław Wieniawa-Dłogoszowski, który zapewnił, że nikt lepiej niż Moszkowicz do tej roli się nie nadaje. Wieniawa, który młodość spędził we Lwowie, mieszkał przy tym, można powiedzieć w „centrum Franza”, bo przy 3 maja, przyjaźnił się z „królem lwowskich kawiarni” od dawna. Włoscy decydenci także zetknęli się z jego legendą, we Lwowie miała bowiem siedzibę galicyjska centrala firmy i jej zarząd wiedział doskonale, że „Lwów to Franz”.

Moszkowicz zapowiedział, że stworzy najnowocześniejszy i najwytworniejszy lokal w Warszawie, ale w negocjacjach z kierownictwem „Adriatiki” oznajmił, że widzi się tylko w roli współnika, pozostali udziałowcy zaś mają mu „dać wolną rękę” i grzecznie partycypować w ryzyku. Tak został akcjonariuszem i dyrektorem, ba, imperatorem „Adrii”,

też, jak orzekł Tuwim, „towarzyskiej archikatedry” dwudziestolecia międzywojennego.

Zięć Moszkowicza, Henryk Ritterman-Abir, w ogłoszonej w Izraelu książce *Nie od razu Kraków zapomniano* wspomina, jak liczni doradcy próbowali go zniechęcić do tej, ich zdaniem, samobójczej szarży. „Najelegantszy lokal stolicy »Oaza« ledwie

zিয়ে, inne lokale nocne dogorywają, to czego pan, lwowski Żyd, może dokazać na warszawskim bruku?” Moszkowicz pozostawał niewzruszony. Ritterman opowiada także, jak w trakcie budowy „Adrii” Franz odwiedził „Colombinę”, nocny lokal po przeciwnej stronie ulicy Moniuszki, gdzie „musiał wysłuchać biadolenia członków orkiestry, kelnerów i właściciela. – Jak pan otworzy »Adrię«, to będę musiał zamknąć. Moszkowicz uspokoił go krótko: – »Adria« was uratuje, interes wasz rozkwitnie. Kto nie dociśnie się do przepelnionej »Adrii«, przyjdzie do was”.

## Epidemia adriatica

Wątpliwości restauratorów nie brały się li tylko z niechęci do konkurencji, wiele renomowanych lokali w Warszawie dopiero co upadło bezpowrotnie. Jednak rację miał Moszkowicz. „Adria” od początku pękała w szwach, a sensację, dzięki umiejętnym zabiegom „króla ze Lwowa”, budziła na długo zanim wpuszczono pierwszych gości. Architekci Edward Eber, Jerzy Gelbard, bracia Sigalin i Edward Seydenbeutel pracowali pół roku. Prasa, umiejętnie sycona przez Moszkowicza „sekretnymi ciekawostkami”, zapowiadała, że Warszawa otrzyma „wspaniały lokal rozrywkowy, wielką kawiarnię reprezentacyjną i wspaniały dancing, w których komfort w połączeniu z wyrafinowanym smakiem złożą się na całość wysoce artystyczną, godną stolicy wielkiego państwa”. Emocje budziły zarówno doniesienia o kosztownych boazeriach z różanego drewna intarsjowanego palisandrem, meblach według specjalnych wzorów z renomowanej firmy Thonet-Mundus czy zamówienia porcelany i platerów projektowanych wyłącznie dla przyszłej „Adrii” – Moszkowicz okazał się mistrzem stopniowania napięcia i szepcanej reklamy na niespotykaną dotąd skalę.

Po otwarciu 7 lutego 1931 roku reporter tygodnika „Świat” obwieścił, że „pierwsze wrażenie po obejrzeniu »Adrii«, da się określić dwoma lapidarnymi słowami: zaczarowany pałac!” Wchodząc przez kryształowe drzwi do przestronnego hallu, stamtąd niemal wprost do pierwszego w stolicy, ogromnego baru w stylu amerykańskim, sąsiadującego z kwitnącym, ptasio rozśpiewanym ogrodem zimowym pod unoszącą się wysoko kawiarnianą antresolą – zaiste



wchodziło się do „nowego świata” warszawskiej gastronomii. I taka myśl przyświecała Moszkowiczowi. „Adria” miała być jak nowy kontynent na mapie polskiej rozrywki – rozległej, bogatej w tradycje, ale osadzonej dotąd w europejskiej, wiedeńsko-paryskiej manierze. Moszkowicz zakreślał te granice znacznie szerzej.

Kazimierz Krukowski powiadał, że Franz stworzył cały „kombinat rozrywkowo-alkoholowy”, i rzeczywiście, goście mieli do wyboru kilka przebogatyń bufetów. Dwa z nich działały w podziemiach przeznaczonych głównie na mieszczącą 800 osób salę taneczną z podłogą wyłożoną antypoślizgową gumą Pirelli i obrotowym parkietem. Wokół urządzono łoża i otwarte przestrzenie restauracyjne pośród marmurów i boazerii z polerowanego orzecha kaukaskiego, z którego wykonano także meble.

Ostateczny efekt architektki powierzyli światłu. Według „Świata” samych żarówek zastosowano ponad siedem tysięcy, jednak zasadnicze znaczenie miały instalacje pozwalające zmieniać barwę, temperaturę i natężenie oświetlenia tak, by harmonizowało nie tylko z użytymi materiałami i konstrukcją wnętrza, ale również z nastrojem muzyki i bogatego programu artystycznego „Adrii”.

W czasach, gdy do bon tonu należało nieskrępowane palenie papierosów i cygar, przebojem była też najnowocześniejsza naówczas wentylacja i klimatyzacja, wymieniająca powietrze, jak podawał „Świat”, pięciokrotnie w ciągu godziny. Lokale Moszkowicza słynęły z czystości, również „za kulisami”. Nie inaczej było w „Adrii”. „Urządzenia te są wyrazem najbardziej nowoczesnych wynalazków techniki i nauki – pisał reporter wizytujący restauracyjne zaplecze. – Automatyczna maszyna do zmywania naczyń oraz cała niezliczona ilość różnych maszyn, maszynek, przyrządów kuchennych składają się na tę wzorową kuchnię, której najbardziej wymagający higienista nie miałby nic absolutnie do zarzucenia”.

Elitarne „Wiadomości Literackie” ogłosiły, że „w Warszawie panoszy się »epidemia ad-



Franz Moszkowicz w gronie przyjaciół

riatica», a rzesze adriomatorów rosną z dnia na dzień”. Uspokajano zarazem, że infekcja jest niegroźna dla zdrowia bo „»Adria« jest jasna, wesola, czysta. Wszystko nastraja pogodnie i przyjemnie, przytem niesłychanie różnorodnie, a kuchnia to istne laboratorium”. Prasa popularna uznała „Adrię” za „ósmą cud Warszawy”, a publiczność najwyraźniej podzieliła ten pogląd, skoro dziennie lokal odwiedzało nawet 2,5 tysiąca gości, według branżowych obliczeń zaś do jesieni 1933 roku łączna liczba wyniosła 2,5 miliona.

## Konieczne azylum

„Pewnego jesiennego wieczoru w 1933 roku siedziałem z Tuwimem i jego piękną żoną w »Adrii«, w łoży przy ogromnej sali dancingowej. Na sali tłum, półtora tysiąca par podskakiwało rytmicznie i śpiewało jednym, ogromnym głosem moją piosenkę. Jeżeli w jakiejś chwili czułem się »wieszczem narodowym«, to właśnie wtedy”. W tym wspomnieniu – i wyznaniu zarazem – Marian Hemar krystalizuje tajniki profetycznych talentów Moszkowicza. Największe ryzyko swego życia podejmował wprawdzie u schyłku szalonych ekonomicznie lat 20., ale miała pierwsza dekada wolnej Polski, ludzie tego czasu potrzebowali „wieszczów” zręcznie dawkujących euforię i słodzących gorzkie niepewności. Z „Adrii”, świetnie nadającej się do roli „wieszczego gaju”, chciał uczynić miejsce, w którym aspiracje, emocje, blichtr i ambicje znajdą ujście, kołyszając wyznawców w komfortowym przekonaniu, że należą do wielkiego i wolnego świata.



Tak jak Hemar znacznie przeszacował liczbę par na parkiecie (müsiałby mieścić, bagatela, 3000 osób!), także nieco przesady było w gazetowych zachwytach nad architektonicznym geniuszem „Adrii”. Specjaliści nie szczędzili uszczypliwości, które tonęły jednak w powszechnym zachwycie publiki. Nawet „Architektura i budownictwo”, najpoważniejsze wówczas pismo fachowe, wyliczywszy ułomności, wznosiło się ponad inżynierską pedanterię, filozofując, że w tych czasach „kawiarnia jest jednym z najbardziej demokratycznych rozwiązań kwestii miejsca odpoczynku, spotkań, wreszcie rozrywki dla szeroških warstw inteligencji, jako konieczne azylum nowoczesnego człowieka staje się szkołą estetyczną dla przeciętnego obywatela, wykładnikiem smaku nowoczesnego i wykwintu”. „Adria”, zdaniem autorów, spełniała tę powinność w sposób naonczas modelowy.

W pojęciu, z jaką siłą ów mit rozwijał się w zbiorowej wyobraźni, pomoże nam cytowany już Marian Hemar. W jednym z jego przebojów pojawia się dziewczyna, która „posadę w sklepie ma i pracuje dzień po dniu za 120 złotych na miesiąc”. W śpiewanej fabulce mówi o tym ukochany skromnej subiektki. W refrenie zapewnia słuchaczy, że „tym więcej i tym goręcej kocha ją”. Oznajmia w końcu, że już niebawem tak oto ją uszczęśliwi:

W sobotę do Adrii pójde z nią,  
Pokaże jej ten świat, o którym pewnie marzy  
Po całych dniach i nocach  
O którym tylko z kina wie.  
I pewnie złoty bar zaimponuje jej...

Hemar na marginesie swego utworu przeżył zabawną przygodę. „Kiedyś przyszedłem w nocy do Złotego Baru w Adrii, tam właśnie występował znany muzyk Elektorowicz. Gdy wszedłem, on akurat śpiewał moją piosenkę, ale zauważyłem, że zmienił słowa refrenu i słyszałem: »moja dziewczyna pracuje w sklepie za 150 złotych...« Zwróciłem mu uwagę i zapytałem, dlaczego śpiewa inaczej. On mi odpowiedział – Panie Marianie, tu jest taki elegancki lokal, myślałem, że 120 złotych to za mało. Dałem jej podwyżkę na »Adrię«...”

## Interes i figle

Moszkowicz wyznaczał sobie cele z wizjonerską przenikliwością, ale nade wszystko chciał, jak sam powiadał, „z należytą przyjemnością zrobić dobry interes”, grając w nim – niby onegdaj na kurtynie „Casino de Paris” – rolę po trosze patrycjusza, po trosze satyra. W utrwalaniu tego wizerunku pomagały mu nie tylko urok osobisty i poczucie humoru, także nadzwyczajna pracowitość i profesjonalny talent. Ludwik Lawiński, gwiazdor estrady, niegdysiejszy lwowiak, pisał o Moszkowiczu jako „genialnym wprost kierowniku nocnych lokali”. „Niebywale uprzejmy dla gości, pomysłowy w układaniu programu swoich imprez artystycznych, respektujący zwłaszcza tańce polskie, w których się kochał, niezastąpiony był Moszkowicz, jeśli chodziło o spławienie pijanego gościa z lokalu. Robił to w sposób delikatny, bardzo dowcipny i bez odrobiny brutalności”.

Kazimierz Krukowski podkreślał, że „Moszkowicz uważał za punkt honoru osobiście przywitać się z każdym gościem, klientem, który cośkolwiek sobą reprezentował, czy to minister, czy generał, dyrektor banku, prezes spółki akcyjnej, aktor, literat czy dziennikarz. Miał zarezerwowanych parę stolików dla swoich wybranych gości, których witał zawsze tym samym powiedzonkiem: – Właśnie dla pana ministra (dziedzica lub

redaktora) specjalnie trzymałem ten stolik całą noc”.

Franz bez wątplenia miał szczęście do ludzi, zarówno *en gros*, świetnie wyczuwając potrzeby klienteli, jak i do osobistych znajomości i przyjaźni. Do najślynniejszych należał Bolesław Wieniawa-Długoszowski, ongiś sąsiad i bywalec lwowskich „latyfundiów” Franza, a w czasach „Adrii” najgłośniejszy bodaj przedstawiciel establishmentu międzywojnia. „Epidemia adriatica” nierozzerwalnie wiąże się z jego legendą i opasłą antologią można ułożyć z facecji i skandali wiążących go, słusznie czy nie, z tym miejscem.

W najpopularniejszej z anegdot wjeżdża tam konno, a powielający tę plotkę bynajmniej nie zważają, że wśród wykluczających jej prawdziwość okoliczności na pierwszym miejscu jest ta, że szczerze kochający konie Wieniawa takiej tortury zwierzęciu by nie zadał. Legenda związała „Adrię” z „pięknym Bolkiem” (wedle określenia A. Słonimskiego), bo był emanacją czasu, swoistym fantomem całego pokolenia, symbolem „sarmackiego tryumfu”, zatem każdy fantazyjny skandalik wyglądał efektywniej, jeśli urządził go Wieniawa, a działo się to jakoby w „Adrii”.

Sensacyjną reputację zręcznie wspierał sam Moszkowicz. Stale rozwijał kontakty wśród wpływowych elit, angażował gwiazdy i gwiazdeczki, używał wewnątrz lokalu filmowcom, osobiście występował w programach artystycznych lub popularnych produkcjach kinowych, między innymi w komedii „Ekscelencja subiekt”, w której pojawił się we własnej osobie jako szef „Adrii”.

Henryk Ritterman wspomina, że teść słyszał też z „kawałów, które improwizował, żeby komuś spłatać figła, zrobić kogoś w konia, nauczyć moresu, wykpić czyjeś śmieszności lub słabostki, a przede wszystkim okrasić szaryżnę życia i dać prasie wdzięczny temat”.

Sam stał się bohaterem jednej z największych plotek poruszających stolicę. Długo bowiem trwało przekonanie, że Moszkowicz poddał się kuracji odmładzającej, i to głośną wówczas, szarłatarską metodą Serge’a Voronoffa, a więc za pomocą przeszczepienia małych gruczołów. Któregoś dnia pojawił się z widocznym na szyi opatrunkiem założonym po jakimś drobnym zabiegu dermatologicznym. Spotkany dziennikarz zagadnął o przyczynę, na co Franz odparł, że aby nieco cofnąć metrykę, wszczepiono mu gruczoły

goryla. „Prosił przy tym reportera – pisze Ritterman – aby zachował tę informację w tajemnicy, polegając na jego zawodowej niedyskrecji. Dziennikarz przyrzekł, że nie zrobi użytku z tej rewelacji, po czym – zgodnie z intencją Moszkowicza – pobiegł do telefonu. Informacja stała się sensacją dnia. Panowie na emeryturze seksualnej pytali go o samopoczucie po operacji. Moszkowicz odpowiadał, że czuje się jak Wezuwiusz, w którym wzbiera lawa. Jeśli młoda żona starego męża pytała o efekt operacji, Moszkowicz radził: – Najlepiej niech pani dobrodziejka sama się przekona, jestem w każdej chwili do dyspozycji”.

## Cztery razy „P”

„Dobrodziejki” otaczały go zresztą licznie i gorliwie. Moszkowicz przez wiele lat był wdowcem, jego żona zmarła w wieku 38 lat, przed śmiercią długo cierpiała, między innymi na otyłość wywołaną przez chybione terapie innych schorzeń. Był w niej najszczerzej zakochany, do legendy przeszły dzieje lwowskiego fryzjera, który miał pecha niewłaściwie obsługiwać Fanię Moszkowicz. Urażony Franz uznał, że ów nie tylko lekceważy żonę „patrycjusza”, ale hańbi żydowski etos handlowy. Otworzył więc tuż obok własną fryzjernię, zatrudnił doborowy personel i prowadził ją tak długo, aż „ukarany partacz” opłacił się dotkliwą sumą za zaprzestanie konkurencji, ślubując Moszkowiczowi nie kalać honoru żydowskiego fryzjera.

Umierającej Fanii obiecał powtórnie się nie ożenić i słowa dotrzymał. Ale, jak pisze zięć, „w przeciwieństwie do świętego Franciszka z Asyżu, Franciszek ze Lwowa nie był święty; miał wielkie powodzenie u kobiet i umiał to wykorzystywać”.

Na wygodne miejsce w niebie starał się zasłużyć na innych odcinkach. „Słyszał z tego, że miał złote serce i szeroki gest – pisze Ritterman. – Dawał najdroższe upominki świąteczne i prezenty ślubne oraz największe napiwki. Podczas gdy krakowscy centusie zwykli wsuwać dozorczy w łapę 20 groszy za otwarcie bramy »po szperze«, on potrafił dać nie mniej niż 5 złotych”.

Zdaniem Rittermana pomaganie było „jego pasją i hobby. Warto było widzieć, jak wyglądała wytworna »Adria« nawiedzona przez lwowiaków, prostych, szarych ludzi

(nie eminenccje), gdy pociąg »Dancing-brydż« przywoził ich hurtem do Warszawy. Witając ich serdecznie, gościł, pytał, wysłuchiwał, starał się załatwić o co go proszono, i to nie odmownie jak władze i urzędy, ale pozytywnie. On miał łatwy dostęp do ludzi na szczytach, a mali ludzie mieli łatwy dostęp do niego. Przez jego biuro przepływał stale rwącym nurtem strumień nie tyle interesantów, co petentów. Jego sekretarka osobista była przeciążona udzielaniem odpowiedzi na listy kategorii »P« – czyli prośby o cztery »P«: poradę, pomoc, pożyczkę, protekcję”.

Jeśli ktoś z przyjaciół w potrzebie lekko-myślnie nie zwrócił się do Franza, narażał się mu srodze. Doświadczył tego Hemar, który zgrał się onegdaj w sopockim kasynie i nie miał grosza na wyrównanie rachunku hotelowego i bilet powrotny. Alarmował telefonicznie kilka bliskich sobie osób w Warszawie, które działały jednak bez pośpiechu, i słyszący z osobistej dumy Hemar musiał kilka dni czekać pokornie na zbawienną gotówkę. „Widocznie nie miałaś do mnie zaufania. To wykreśl mnie łaskawie z listy swych przyjaciół” – sarknął, dowiedziawszy się o wszystkim, Moszkowicz, biorąc pominięcie go za nietakt i afront.

Wedle współczesnych zwykle nie dąsał się długo, a jego ekscentryczna natura i wielkoduszność spłotyły się legendarnie w jak najprawdziwszym zapisie testamentu, w którym nakazał zniszczyć wszystkie weksle wystawione przez znane mu osoby i pokrycie z jego osobistego majątku braków w kasach przedsiębiorstw.

## Bombowa puenta

W połowie lat 30. kilka dekad nocnego życia zaczęło się odbijać na jego zdrowiu. Doszedł do tego konflikt z niesolidnymi współnikami i powstałe stąd kłopoty z lwowskim fiskusem. Lekarze zalecali Moszkowiczowi, by się wycofał z interesów lub przynajmniej ograniczył aktywność. „Wybrał więc solidny Kraków, gdzie bramy zamykano o dziesiątej – pisze Ritterman. – Nie mogąc się jednak pogodzić z myślą o całkowitej bezczynności, przerzucił się do obcej mu kompletnie branży filmowej, którą traktował jako przyjemne, interesujące, spokojne zajęcie”.

W Krakowie prowadził interesy już wcześniej, między innymi „kawiarnię-cukiernię-

-dancing-bar »Feniks«,” jednak było to dlań za mało emocjonujące. Prowadzony przez córkę Moszkowicza (raczej tytułarnie) teatr „Bagatela” został więc w 1938 roku przebudowany na wytwórnię kinoteatr „Scala”, stając się jedną z najnowocześnie wyposażonych sal projekcyjnych w Europie.

Franciszek Dawid Moszkowicz, król lwowskich kawiarni, imperator warszawskiej „Adrii”, czuł „satyr” i wielkoduszny „patrycjusz”, zmarł podczas kuracji w Rabce w kwietniu 1939 roku. Życzył sobie, żeby pochować go we Lwowie. „Jego pogrzeb z udziałem tysięcy lwowiaków, Żydów i nie-Żydów, był wzruszającą demonstracją szacunku, sentymentu i przywiązania do »Franza«. Lwów pozostał mu wierny” – podsumował wspomnienia o swym wybitnym teściu Henryk Ritterman-Abir. Pożegnanie Moszkowicza było bodaj ostatnim tak wielkim konduktem w polskim Lwowie.

Spośród jego przedsięwzięć najbardziej symboliczny los spotkał „Adrię”. Po zajęciu Warszawy przez Niemców lokal oznaczono oczywiście „nur für Deutsche”. W 1943 roku śmiertelnie chory żołnierz AK dokonał w nim samobójczej akcji podczas dancingu, zabijając trzech hitlerowców. W czasie powstania zorganizowano tam stołówkę, a 18 sierpnia 1944 kilka piętér budynku przy Moniuszki przebita – nie detonując – olbrzymia, ważąca półtony bomba. Wryła się wprost w posadzkę dawnej sali tanecznej w podziemiach „Adrii”. Materiał wybuchowy wydobyty z niewypału przekazano powstańczej wytwórni granatów. Porzucony czerep przeleżał na terenie posesji aż do rozpoczęcia w połowie lat 60. budowy tzw. ściany wschodniej. Wówczas przeniesiono go do ogrodu Muzeum Wojska Polskiego, gdzie wciąż można go oglądać. Próbując tchnąć życie w gierkowskie śródmieście stolicy, w dawnych pomieszczeniach otwarto restaurację pod przedwojenną nazwą, ale rozplynęła się bezbarwnie w dziejach perelowskiej gastronomii.

Prawdziwa „Adria” przetrwała tylko we wspomnieniu i anegdocie, w której najwięksi birbanci lat 30. wirują przy tangach Goldów, Petersburskiego czy Freda Melodysty. Niemiecki pocisk pokonany przez taneczną krąg tamtej „Adrii” to zrządzenie losu, które Franz Moszkowicz bez wątpienia uznałby za figiel godny jego fantazji.

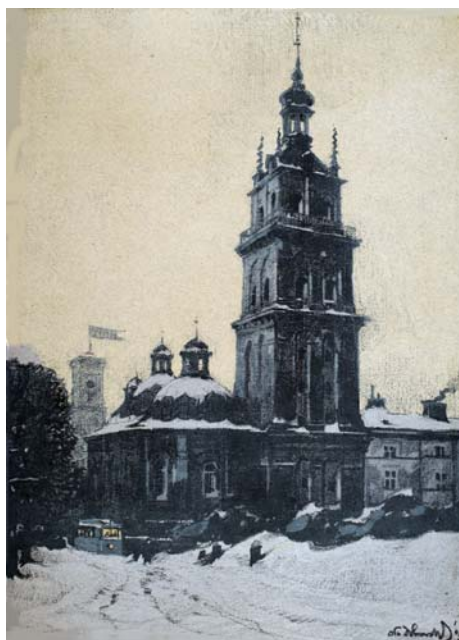
Karolina Grodziska

# Tajemniczy, utalentowany, mroczny

**M**owa o Odonie Dobrowolskim (1883–1917), którego litografie z widokami Lwowa, wydane w 1915 roku, osiągnęły w ostatnich latach na aukcjach antykwarycznych ceny od 1200 do 2400 zł. Jego obraz *Lwów – widok na zaplecze Katedry* sprzedany został w 2008 r. za 22 000 zł, a *Zimowy wieczór we Lwowie* w 2022 r. za 19 200. Jeszcze wyższe ceny osiągają widoki Paryża, w którym młody artysta przebywał na dłużej dwukrotnie: pastel *Nokturn paryski – widok na Notre Dame* sprzedano w 2020 r. za 14 000 zł, a inny, *Paryż nocą – widok na kościół St. Germain des Pres* znalazł w 2019 nabywcę za 28 000 zł.

Tajemniczość i niezwykle nastroj są jego znakiem szczególnym, ale biografia artysty pozostaje równie nieznana. Zarówno publikacje książkowe, jak internet przynoszą jedynie kilka podstawowych faktów, a te rodzą jeszcze więcej pytań o malarza, który w chwili śmierci miał raptem 34 lata i wydawałoby się – wiele artystycznych sukcesów przed sobą.

Urodził się w 1883 r. w Czerniowcach, był synem Józefa Dobrowolskiego, urzędnika Gubernium, i Eugenii z domu Wittych. Do gimnazjum uczęszczał we Lwowie, następnie



Odo Dobrowolski, Lwów – Cerkiew Wołoska i wieża Korniakta

podjął studia malarskie w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Od wczesnych lat wykonywał szkice tuszem, niewielkie akwarele, gwasze i pastele, chętnie stosował technikę mieszaną. Do najwcześniejszych prac należą *Kościół św. Elżbiety* (1903) i *Cerkiew wołoska* (1907), a także *Portret Henryka Zbierzchowskiego* (1907) i *Opera w Wiedniu* (1907).

W latach 1908–1909 i 1911–1912 przebywał w Paryżu. Powstały tam liczne obrazy, przedstawiające miasto, zwłaszcza nocą lub we mgle, nastrojowe i opustoszałe. Malował z upodobaniem szerokie puste bulwary i mniejsze uliczki, Sekwanę, mosty, widoki katedry Notre Dame i innych kościołów.

Z Paryża Odo Dobrowolski wrócił do Lwowa w 1912 r. Z tego czasu pochodzą kolejne lwowskie obrazy: *Kościół Bernardynów* (1912), *Motyw starego Lwowa* (1913), *Zaułek obok Wielkiej Synagogi* (1913). W 1912 r. brał udział w wystawie zorganizowanej przez Koło Literacko-Artystyczne.

Poczynając od 1912 r., jego obrazy wydawane były w formie kart pocztowych, w kolorze, przez dwie



Odo Dobrowolski, Pomnik Adama Mickiewicza we Lwowie



Lwowskie firmy: Lwowskie Wydawnictwo Kart Artystycznych Leona Propsta (11 widoków) oraz Wydawnictwo Artystycznych Pocztołek Rusalka (5 widoków, w tym – katedry św. Jura z podpisem w języku ukraińskim). Dziś już rzadko trafiamy na nie w antykwariatach.

Po wybuchu wojny Dobrowolski pozostał we Lwowie. Wtedy właśnie, w mieście pozostającym pod okupacją rosyjską, stworzył 10 wspaniałych litografii wykonanych według własnych rysunków. Przedstawiają one widok ogólny miasta z wieżami katedry i ratusza, widok na ratusz, kościół Karmelitów, kościół Bernardynów, cerkiew Wołoską, budynek Sejmu, gmach uniwersytetu przy kościele św. Mikołaja, plac Mariacki, Namiestnictwo i katedrę św. Jura. Przedstawiają miasto o zmroku lub w nocy, pokryte śniegiem, z zaśnieżonymi dachami, chodnikami i ulicami, na których w śniegu widać nieliczne koleiny pojazdów, rzadko – zapalone latarnie i równie rzadko światła w mieszkaniach czy jasne sklepowe witryny. Ich ciężki nastrój odpowiada zarówno zimowym miesiącom, kiedy powstawały, jak i wojennym przeżyciom. Na placu Mariackim przed pomnikiem Mickiewicza widzimy dwa wojskowe auta rosyjskie, przed kościołem Bernardynów pali

się jedna uliczna latarnia... Tekę autolitografii wydano za zgodą rosyjskiej cenzury. Można ją było nabyć za 30 koron.

Nie znamy powodów, osobistych, rodzinnych lub zawodowych, dla których Odo Dobrowolski w czerwcu 1915 roku zdecydował się wyjechać do Rosji. Właśnie wtedy, gdy miasto wracało w skład monarchii habsburskiej. Wiemy jedynie, że Odo Dobrowolski zmarł w 1917 r. w Kijowie. Tak jak nie znamy

daty jego urodzin, tak nie znamy daty śmierci. Trudno przypuszczać, by na którymś z kijowskich cmentarzy zachował się jego grób.

W zbiorach Lwowskiej Galerii Sztuki znajduje się obecnie 28 akwarel Dobrowolskiego. Dziewięć posiada Biblioteka Narodowa w Warszawie, jeden obraz (Bernardynów) – Muzeum Narodowe w Krakowie. W Ossolineum przechowywany jest jego autoportret, a w Żydowskim Instytucie Historycznym w Warszawie dwa obrazy. Poszczególne litografie i obrazy znajdują się też w zbiorach prywatnych.

W zbiorach Biblioteki Naukowej PAU i PAN w Krakowie, w Gabinetce Rycin, posiadamy kompletną tekę autolitografii Dobrowolskiego. To z niej pochodzą widoki, które dziś prezentujemy.



Odo Dobrowolski, Lwów – Namiestnictwo



# Z WOŁYNIA NAD ŁABĘ

## WOJENNE WSPOMNIENIA JERZEGO JANKOWSKIEGO

Urodziłem się w dniu 14 sierpnia 1925 r. w koszarach 12 Pułku Ułanów Podolskich w Białokrynicy k. Krzemieńca na Wołyniu<sup>1</sup>. W taki właśnie – obiecujący – sposób zaczynają się wspomnienia Jerzego Jankowskiego, kresowiaka, żołnierza Armii Krajowej, a później 1. Armii Wojska Polskiego, po wojnie zaś wieloletniego oficera LWP. Autor spisał je pod koniec swojego życia, w latach 80. i 90., a drukiem ukazały się dwie dekady później nakładem Wydawnictwa Naukowego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu w serii „Wojna i pamięć”. Toruńska oficyna publikuje w tym cyklu ciekawe teksty pamiętnikarskie, powstałe – jak sam tytuł wskazuje – w burzliwych czasach rozmaitych wojen. Dodajmy, że są to zwykle teksty wcześniej niedrukowane lub mało znane, zarówno krajowe, jak i zagraniczne<sup>2</sup>.

Noszące tytuł *Moje frontowe dni* wspomnienia Jerzego Jankowskiego składają się z trzech części. W pierwszej (*Wspomnienia przedwojenne*) autor opisał swoje dzieciństwo spędzone w koszarach 12. Pułku Ułanów Podolskich w Białokrynicy oraz szkołach Krzemieńca i Lwowa. Część druga (*Wspomnienia wojenne*) obejmuje wybuch wojny oraz okres dwóch okupacji: sowieckiej i niemieckiej na Wołyniu. Wreszcie część trzecia (*Moje frontowe dni*) to relacja z jego wojennej służby w szeregach 1. Armii Wojska

Polskiego na szlaku od Warszawy do Łaby. Części pierwsza i druga powstały pierwotnie na potrzeby rodziny, jedynie część trzecia miała być przeznaczona do publikacji. Ostatecznie spadkobiercy autora zdecydowali, by wszystkie te teksty znalazły się w wydanyim drukiem tomie.

Słusznie, bo materiał to ciekawy i wart zaprezentowania. Niepublikowane pamiętniki, dzienniki i wspomnienia mają wartość dodaną w postaci osobistego spojrzenia autora na wydarzenia – zwykle historycznie ważne i przełomowe. Bo w takich właśnie momentach ludzie sięgają po pióro, by zarejestrować przebieg wypadków i towarzyszące im własne odczucia. Takimi momentami mogą być wybuch wojny, początek rewolucji, ale też – bardziej intymnie – przejście z dzieciństwa do dorosłości, rozstanie z bliskimi lub rodzinną miejscowością, wyjazd z kraju. Jak jest w przypadku wspomnień Jerzego Jankowskiego?

Autor pochodził z rodziny o tradycjach wojskowych. Jego urodzony w 1857 roku dziadek Aleksander odbył służbę wojskową w kozackim pułku artylerii w armii carskiej. Wziął udział w walkach na Kaukazie, gdzie za dzielność odznaczono go aż cztery razy Krzyżem św. Jerzego. Gdy podczas I wojny światowej jego gospodarstwo w Luszewie koło Ciechanowa zaczęli grabić Kozacy, ogniomistrz Jankowski przypiął do koszuli owe cztery krzyże i wyszedł do intruzów, od razu stawiając ich na baczność. Zrządzeniem losu okazało się, że Kozacy są z dawnego pułku dziadka, co nie mogło skończyć się inaczej, jak tylko trzydniową popijawą w jego dawnej baterii.

Z kolei ojciec autora, Władysław, został powołany do rosyjskiego wojska w 1912 roku. Ze względu na wysoki wzrost i dobrą prezencję został na Polu Marsowym w Petersburgu wcielony do Lejb-Gwardyjskiego Pułku Kirasjerów. Pułk stacjonował w Carskim Siole w pobliżu rosyjskiej stolicy, a jego

<sup>1</sup> Jerzy Jankowski, *Moje frontowe dni. Wspomnienia z lat 1925–1945*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2020, s. 11.

<sup>2</sup> Np. Jadwiga Rutkowska, *Pamiętnik lwowiarki 1914–1919*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2017 (opisywany na łamach „Cracovia–Leopolis”); Kazimierz Sokółowski, *Dziennik 1920*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2018; William Avery Bishop, *Skrzydłata wojna. Wspomnienia z walk podczas I wojny światowej największego kanadyjskiego asa lotnictwa myśliwskiego*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2019.

żołnierze pełnili służbę w pałacu cara. Dzięki temu Jankowski senior miał okazję z bliska widzieć Mikołaja II, jego żonę Aleksandrę i słynnego Grigorija Rasputina. Mało tego, car miał zwyczaj rozmawiać z wartownikami stojącymi przy drzwiach jego gabinetu, wypytując ich o narodowość i pochodzenie. Zaszczycił ten spotkał także ojca autora. Władysław był też świadkiem, jak pewnego razu biegnący po pałacowych pokojach carewicz Aleksy potknął się o puszysty dywan i przewrócił, a z nosa pociekła mu krew. By ratować chorego na hemofilii chłopca, na miejsce wypadku błyskawicznie zbiegli się przerażeni dworzanie, caryca i Rasputin. Dla takich właśnie historii warto wydawać i czytać dawne wspomnienia...

Ojciec autora podczas I wojny światowej walczył w szeregach swojego pułku z Niemcami, dosłużywszy się Krzyża św. Jerzego i awansując na kaprala. Po rewolucji bolszewickiej pułk przestał istnieć, a oficerowie, podoficerowie i kirasjerzy Polacy, zabrawszy broń, konie i ekwipunek, utworzyli 1. Chorągiew Kirasjerów III Korpusu Polskiego (kto dziś pamięta że w XX wieku w Wojsku Polskim byli kirasjerzy?). Po rozbrojeniu korpusu Władysław Jankowski wrócił do kraju, a w lutym 1919 roku ochotniczo wstąpił do formowanego w Wilanowie 12. Pułku Ułanów. Z tą jednostką był związany później przez większą część życia, a razem z nim jego rodzina.

Bo to właśnie wokół 12 Pułku kręciło się życie Jankowskich. Ojciec Władysław, wachmistrz, później chorąży, był szefem szwadronu gospodarczego i jak większość podoficerów mieszkał w koszarach stacjonującego w Białokrynicy koło Krzemieńca pułku. Jego dwaj synowie – starszy Wiesław i młodszy Jerzy, autor wspomnień – znali w nich każdy kąt, a place apelowe, stajnie, strychy i magazyny były miejscem ich dziecięcych zabaw. Co roku rodziny oficerów i podoficerów uczestniczyły w obchodach święta pułku, Święta Konia, Dnia św. Huberta, świąt narodowych, a także w zawodach jeździeckich i sportowych. W pułku funkcjonował teatr amatorski, kabaret i spółdzielnia. W kościele garnizonowym brano śluby, chrzczono dzieci, żegnano zmarłych.

Autor zapamiętał zaskakująco wiele szczegółów ze swojego dzieciństwa, zarówno tego rodzinnego, jak i tego pułkowego. Jego opisy koszarowej codzienności są bardzo ciekawe, w tym także dla badaczy dziejów tej ułańskiej jednostki. Możemy np. dowiedzieć się, kiedy koszarowy kompleks został otoczony płotem, kiedy obiekty zradiofonizowano, jakie były okoliczności wzniesienia nowoczesnego budynku mieszkalnego dla rodzin oficerów i podoficerów. Są też informacje o kadrze pułku, jego dowódcach, odwiedzających go gościach, corocznych ćwiczeniach oraz wojennej mobilizacji w 1939 roku. By nie być gołosłownym,



Pałac w Białokrynicy



Przedwojenne koszary 12 Pułku Ułanów w Białokrynicy, zdjęcie z 2009 r. To tam wychowywał się autor wspomnień

dajmy próbkę wspomnień autora: *Wakacje w pułku zawsze miały dla mnie całą moc atrakcji. A więc najpierw było święto spółdzielcze w pierwszą niedzielę lipca połączone z festynem, a następnie wyjazd pułku na manewry. Z zaciekawieniem przyglądaliśmy się licznym przygotowaniom poszczególnych szwadronów. Tu malowano i naprawiano wozy taborowe, tam znowu gięto łożę na pałąki do wozów taborowych, tam znowu wytaczano kuchnie polowe z magazynów i przygotowywano je do gotowania. Z wielkim zainteresowaniem uczestniczyłem czynnie w tych przygotowaniach do manewrów w szwadronie gospodarczym, gdzie ojciec był szefem. Były to zajęcia, które mi się podobały. Przymocowywałem trokami do wozów taborowych latarki, biegałem od wozu do wozu z polecenia ojca i sprawdzałem, czy w każdym z nich jest zapasowe koło, zapas podków i hufnali, brezentowych wiader do pojenia koni, wiaderek do smaru do smarowania osi wozów itp. szczegółów<sup>3</sup>.*

Druga interesująca część wspomnień Jerzego Jankowskiego dotyczy okresu jego nauki szkolnej. Najpierw uczęszczał do wiejskiej szkoły powszechnej w Białokrynicy, potem do Liceum Krzemienieckiego. Ta druga placówka stanowiła w latach 20. i 30. ubiegłego wieku prawdziwy edukacyjny kombinat, składający się ze szkoły ćwiczeń, gimnazjum, liceum, seminarium nauczycielskiego, szkoły rolniczo-leśnej,

a w latach 1938–1939 także gimnazjum i liceum spółdzielczego. Była świetnie wyposażona, posiadała własne zaplecze gospodarcze, a uczyli w niej wyśmienici pedagodzy. Z książki Jankowskiego dowiemy się, jak wyglądało uczniowskie życie na co dzień i od święta. Spójrzmy choćby na ten fragment: *Czasem nasza klasa wyjeżdżała na krótkie wycieczki w okolice Krzemieńca samochodem licealnym. Były to wycieczki do Wiśniowca, gdzie w pałacu mieściła się szkoła zawodowa należąca do liceum (kierownikiem szkoły tej był w tym czasie były rotmistrz 12 Pułku Ułanów p. Białobrzeski), bądź też do Smygi, osady położonej na trasie Krzemieniec–Dubno, gdzie był ogromny tartak oraz fabryka mebli, również należących do liceum. Z okazji ważnych uroczystości państwowych i licealnych niekiedy przedstawienia odgrywało pedagogium na dziedzińcu ruin zamku na Górze Królowej Bony, w świetle pochodni i ognisk<sup>4</sup>.*

Trzecim etapem edukacji autora była nauka w gimnazjum w Żółtkwi, a następnie w państwowym gimnazjum we Lwowie, połączona z zamieszkiwaniem w tamtejszych internatach dominikanów. W tej części przeczytamy, jak wyglądała nauka w szkole średniej w latach 30., jak wyglądał ówczesny Lwów widziany oczami przybysza z prowincji i co zaprzętało umysł 13-letniego chłopca. Chłopca, dodajmy, grzecznego, pobożnego i patriotycznego. Przykładającego

<sup>3</sup> Jerzy Jankowski, op. cit., s. 74–75.

<sup>4</sup> Tamże, s. 72.

się do nauki, udzielającego w harcerstwie i Sodalicii Mariańskiej. We wspomnieniach Jankowskiego – pisanych wszak z perspektywy prawie 50 lat – uderza mnogość zapamiętanych szczegółów. Autor wymienia nazwiska szkolnych nauczycieli i kolegów, oficerów i podoficerów pułku, przeczytane wówczas książki, obejrzone filmy, odwiedzone miejsca. Relacjonuje ówczesne wydarzenia polityczne i społeczne reakcje na nie. Szczególnie ciekawy jest opis wojennej mobilizacji 12 Pułku Ułanów w sierpniu 1939 roku, widziany oczami bezpośredniego świadka, choć nie uczestnika. To właśnie wydarzenie kończy pierwszą część książki zatytułowaną *Wspomnienia przedwojenne*.

Część druga jest jeszcze ciekawsza. Jankowski mógł obserwować przebieg kampanii wrześniowej na dalekim zapleczu frontu. Był najpierw świadkiem odchodzenia na front kolejnych oddziałów, potem ucieczki rodzin dygnitarzy i oficerów, ukrycia pułkowego sztandaru, przechodzenia przez miasteczko kolejnych przemieszanych polskich oddziałów, a wreszcie wejścia sowietów. *Było to 19 września. [...] Zbliżając się do bramy koszar od strony Dębnik, zauważyliśmy z dala jadących ku nam żołnierzy na koniach, w hełmach. Zdziwiliśmy się bardzo, skąd mogli się tu wziąć jeźdźcy, skoro wszystkie konie wierzchowe z pułku wyszły na front. Po zbliżeniu się jeźdźców ujrzeliśmy nieznaną mundury, nieznaną dotąd głęboko osadzone hełmy, mizernie konie i także na nich rzędy. Początkowo byliśmy skonsternowani. Wątpliwości nasze rozwiały wreszcie gwiazdy czerwone umieszczone na hełmach. Byli to sowieci. Nie odezwali się do nas ani słowem<sup>6</sup>.*

Nastaly ciężkie czasy sowieckiej okupacji. Skończyło się dostatnie przedwojenne życie. Jankowscy musieli opuścić swoje ładne mieszkanie w koszarach. Ojciec wprawdzie uniknął niewoli, ale stracił pracę i musiał zatrudnić się jako ogrodnik w zajętych przez sowietów koszarach 12 Pułku. Na krótko aresztowało go NKWD, usiłując wydobyć od niego informacje o miejscu ukrycia sztandaru 12 Pułku. Potem był drwalem i znów ogrodnikiem w majątku Białokrynica. By przetrwać, rodzina wyprzedawała Rosjanom i Ukraińcom co cenniejsze rzeczy.

Młodzi Jankowscy kontynuowali kształcenie w gimnazjum w Krzemieńcu z polskim językiem nauczania. Potem się to zmieniło, język polski usunięto i nauka odbywała się po rosyjsku. By wspomóc biedniejszą rodzinę, chłopcy w wakacje pracowali fizycznie. Jerzy był świadkiem kolejnych etapów sowietyzacji zajętych terenów: usuwania polskich symboli, paździenikowych „wyborów” do Zgromadzenia Ludowego i włączenia Kresów do ZSRR, przymusowego nadania Polakom sowieckiego obywatelstwa, pogłębiającej się biedy i wszystkich absurdów sowieckiej rzeczywistości. Z bólem serca obserwował rządy okupantów w koszarach 12 Pułku – zniszczenie Izby Pamięci i biblioteki, zamianę kościoła garnizonowego w klub, powieszenie na jego wieży czerwonej gwiazdy... Interesujące są dwie informacje autora. Jedna na temat ukrycia głowicy sztandaru 12 Pułku Ułanów Podolskich: *Głowicę sztandaru w czasie, gdy Białokrynice zajęli sowieci, ojciec oraz p. plut. Wójcik umieścili w metalowej skrzynce pełnej smaru i zakopali koło domu wachm. Nowaka, pod jednym ze słupów telefonicznych<sup>6</sup>. Druga o ortach z wież białokrynickiego zamku: *Na tych wieżyczkach przed wojną umieszczone były wykonane z posrebrzanej blachy orły. [...] Sowievi nakazali orły zniszczyć. Miejscowi Polacy zdjęli te orły i wrzucili do fosy pełnej wody. W czasie okupacji niemieckiej poziom wody w fosie nieco się obniżył i oglądałem wówczas leżące na dnie te orły, których przez 4 lata leżenia w wodzie rdza ani nie tknęła. Leżą tam na pewno do dziś dnia, czekając na ponowne wejście na wicie<sup>7</sup>.* Może tymi informacjami powinien zainteresować się Instytut Pamięci Narodowej?*

Mimo że ojciec autora był zawodowym wojskowym, Jankowski szczęśliwie omiął wszystkie wywózki. Przygotowani, ze spakowanymi rzeczami i zapasami jedzenia, czekali co noc na wizytę NKWD. Zrządzeniem losu nie znaleźli się na listach podczas kolejnych faz deportacji i doczekali wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej.

Paradoksalnie okupacja niemiecka okazała się dla nich znacznie łżejsza niż sowiecka. Ojciec dostał stanowisko kierownika ogrodnictwa w majątku w Białokrynicy,

<sup>5</sup> Tamże, s. 160.

<sup>6</sup> Tamże, s. 185.

<sup>7</sup> Tamże, s. 221.



Pluton trębaczy 12 Pułku Ułanów Podolskich

a rodzina przeniosła się do dużego domu po przedszkolu, w którym zajęła obszerne mieszkanie. Dzięki korzystaniu z ogrodu, sadu i warzywnika oraz hodowaniu własnych zwierząt (świnie, kozy) głód przestał zaglądać im w oczy. Obaj chłopcy zostali zatrudnieni w gospodarstwie, co dawało dodatkowe pieniądze, rodzina otrzymywała też deputat żywnościowy i opały. Niemiecki kierownik gospodarstwa okazał się dobrym człowiekiem, z którym dało się dojść do porozumienia. Wiesław i Jerzy podjęli naukę w Średniej Szkole Leśnej i Rolniczej w Białokrynicy, co pozwoliło im kontynuować kształcenie (choć w języku ukraińskim). W 1943 roku razem z ojcem znaleźli się w AK, w szkieletowym plutonie 12 Pułku Ułanów Podolskich. Do plutonu i krzemienieckiej kompanii, której stał się częścią, weszło wielu mieszkających w okolicy byłych żołnierzy i podoficerów pułku.

Jankowscy byli świadkami Holocaustu i zagłady żydowskiej ludności Krzemieńca, a potem ukraińskich mordów na Polakach. Gdy napady zaczęły się zbliżać do Białokrynicy, polskie rodziny z wiosek całymi taboarami z dobytkiem ściągały do Krzemieńca, szukając tam ratunku. Rodzina autora pozostała w Białokrynicy, zgromadziła broń i nie nocowała w domu, lecz w ogrodzie, czuwając na zmianę do samego rana. Potem na zaproszenie wspomnianego niemieckiego kierownika folwarku przenosiła się na noc do białokrynickiego zamku, w którym stacjono-

wała niemiecka załoga wojskowa, co gwarantowało pewne bezpieczeństwo. W ten sposób Jankowscy dotrwali do nadejścia Armii Czerwonej. *Dziękowaliśmy Bogu, że cudem jakoś obronną ręką wyszliśmy z tej dotychczasowej zawieruchy wojennej, podczas gdy wokół nas było tyle ognia, wojny i ludzkich nieszczęść* – pisze autor<sup>8</sup>.

Trzecia część jego wspomnień – zatytułowana *Moje frontowe dni* – obejmuje okres wojennej służby Jankowskiego w 1. Armii Wojska Polskiego. Po wejściu Sowietów do Krzemieńca Jerzy i jego koledzy z konspiracyjnego plutonu podchorążych AK otrzymali od przełożonego rozkaz wstąpienia do oddziałów Berlinga. Miało ich to ochronić przed poborem do Armii Czerwonej. Jerzy i jego brat Wiesław zgłosili się więc do komisji poborowej w Krzemieńcu, a ta skierowała ich do polskiego wojska. Autor wspomnień otrzymał skierowanie do Centralnej Szkoły Podchorążych w Riazaniu (180 km na północny wschód od Moskwy), gdzie miał zostać oficerem artylerii. Wśród barwnych opisów nauki w szkole ciekawa jest scena, w której wracająca z ćwiczeń bateria Jankowskiego zatrzymała się dla odpoczynku przy bramie dużego obozu jenieckiego. Jej pojawienie się wywołało dużą nerwowość wartowników i oficerów NKWD, którzy natychmiast zażądali odjazdu Polaków, grożąc im bronią. Dopiero długo po wojnie Jankowski dowiedział się,

<sup>8</sup> Tamże, s. 239.



że w tym czasie w Riazaniu przetrzymywano w obozie internowanych żołnierzy AK... Ci zresztą dowiedzieli się, że w mieście istnieje polska podchorążówka, i próbowali nawet – niestety bezskutecznie – nawiązać z nią kontakt.

W sierpniu 1944 roku Szkoła Podchorążych została przeniesiona z Riazania do Chełma Lubelskiego. Podczas postoju w Kijowie Jankowski i jego koledzy tłumnie odwiedzili tamtejszy – czynny! – kościół katolicki, wzbudzając wzruszenie odprawiającego mszę księdza. Zatrzymali się też w Równem, gdzie obstała ich polska ludność. W Chełmie Oficerską Szkołę Artylerii umieszczono w dużym i ładnym gmachu dyrekcji PKP. Wśród podchorążych byli Wołyniacy i zmobilizowani mieszkańcy Chełmszczyzny, Lubelszczyzny oraz Lwowskiego. Połowa z nich należała do AK. Podczas promocji w styczniu 1945 roku doszło do pewnego zgrzytu. Gdy przemawiający do nowo mianowanych oficerów gen. Michał Rola-Żymierski zapytał, kto chce od razu iść na front, z 252 podporuczników rękę podniosło tylko 40...

Był wśród nich Jankowski, który otrzymał przydział do 12. Pułku Artylerii Haubic w 3. Brygadzie Artylerii Haubic. Został tam oficerem ogniowym 1. baterii. W szeregach Pułku (znowu o numerze 12!) wziął udział najpierw w walkach o Warszawę, a potem w zmaganiach o Wał Pomorski. Jego wspomnienia to bardzo ciekawa relacja uczestnika tych – dziś zepchniętych w niepamięć – wydarzeń. Pokazują, jak ciężkie były to walki, jak wielkie straty za sobą pociągnęły

i jak wiele wysiłku kosztowało polskich żołnierzy zdobycie tej pozycji. Tutaj kolejna niezwykła historia: Jankowski został przydzielony z radiostacją jako wsparcie artyleryjskie do 4. kompanii 3. Pułku Piechoty (z 1. Dywizji Kościuszkowskiej) idącej na rozpoznanie. Jednak już podczas marszu został odwołany na tyły. Chwilę później ta właśnie kompania została zmasakrowana ogniem

Niemców na leśnej polanie, rannych żołnierzy hitlerowcy dobili, a wziętych do niewoli spalili żywcem w stodole we wsi Podgaje (ta zbrodnia była głośna w PRL, nakręcono o niej film fabularny *Elegia*, a w Podgajach postawiono pomnik; dziś mało kto o niej pamięta). Przypadek sprawił, że Jankowski uniknął śmierci, a my możemy czytać jego wspomnienia.

Ciekawa jest także jego relacja z walk o Kołobrzeg. Była to druga poważna kampania 1. Armii Wojska Polskiego. Zdobycie tego ufortyfikowanego miasta w ciężkich walkach ulicznych, z twardo broniącym się przeciwnikiem, kosztowało ją ponad 1200 utraconych bezpowrotnie żołnierzy. Jankowski wspierał swoimi działaniami natarcia 16 Pułku Piechoty, miał też okazję – to chyba ewenement – celnymi strzałami zatopić jeden z niemieckich statków ewakuujących obrońców miasta. Zdobył tym sławę i uznanie wśród kolegów i przełożonych. W tym czasie został p.o. dowódcy, a później dowódcą baterii – najmłodszym, bo 19-letnim, w całym Wojsku Polskim. Był świadkiem zdobycia kołobrzegskiego portu i kapitulacji ostatnich oddziałów niemieckich.

*Poszedłem nad morze. Co się tam działo? Jedni strzelali na wiwat, inni myli się wodą morską, a wszyscy bez wyjątku próbowali, czy woda w morzu jest naprawdę słona. Mój telefonista kan. Radzyński, taki dwudziestoletni chłopak spod Zbaraża, stał zauroczony i patrzył na morze. Powiedział wówczas do mnie [...] – Panie poruczniku! Jak Boga kocham, prawdziwe morze! – Mówił to z takim przejęciem i zachwytem, że*



Kołobrzeg 1945, obraz Michała Byliny

*poklepałem go po przyjacielsku po plecach. Mówił dalej: – W mojej wsi wcale nie uwierzą, że byłem nad prawdziwym polskim morzem i piłem naprawdę słoną wodę. – Wspaniali byli ci chłopcy – pisze Jankowski<sup>9</sup>.*

Po Kołobrzegu 1. Armia WP została przesunięta do obrony wybrzeża na odcinku do Szczecina, co pozwoliło jej żołnierzom na odpoczynek po ciężkich walkach. Tam również Jankowski miał okazję celnie strzelać ze swoich dział do niemieckich statków wypływających ze Szczecina. Zatopił holownik i ciągnięte przezeń barki. W kwietniu 1945 roku oddziały 1. Armii zostały pospiesznie skierowane znad Bałtyku nad Odrę, a po jej trudnym forsowaniu do ataku w kierunku Berlina. W ciężkich walkach polskie jednostki posuwały się na zachód w stronę stolicy Niemiec. Jankowski wyszukiwał pozycje dla dział swojej baterii, ustalał cele, obliczał dane, prowadził ogień. Na jego oczach – a czasem na rękach – umierali śmiertelnie ranni żołnierze i koledzy oficerowie. 3 maja Polacy dotarli do Łaby, gdzie spotkali się ze stojącymi po drugiej stronie rzeki Amerykanami. Szlak bojowy Jerzego Jankowskiego zakończył się. Raz został ranny, dwukrotnie odznaczono go Krzyżem Walecznych. Już po ustaniu walk miał okazję zobaczyć zrujnowany Berlin. Na ścianie zniszczonego Reichstagu złożył swój podpis kredą: „Jerzy Jankowski – Krzemieniec”. Z kolei na jednej z berlińskich ulic widział duży napis wykonany wapnem przez któregoś

z żołnierzy 1. Dywizji Piechoty: „A kuku – Henio z Tarnopola”. Autor ciągle podkreśla, że 1. Armie WP tworzyli kresowiaci: Polacy z Wileńszczyzny, Grodzieńszczyzny, Wołyń, Lwowszczyzny, także rodacy z głębokiej Ukrainy czy z głębi Rosji. Większość z nich dotknęły sowieckie represje, wywózki, aresztowania, więzienia. I jego zdaniem trudno tych ludzi oskarżać o miłość do komunizmu.

Na koniec jeszcze jedna ciekawostka: Gdy Brygada wracała z Niemiec do kraju, by uniknąć ograbienia z wiezionych wojennych trofeów (samochodów, rowerów, maszyn do szycia itd.) przez sowieckich żołnierzy pilnujących przeprawy przez Odrę w Kostrzynie, przygotowano mistyfikację. Sowietom oświadczono, że oto jedzie sztab polskiej armii, a jednego z oficerów przebrano za generała i usadzono w eleganckim samochodzie osobowym. Skonsternowani sojusznicy przepuścili kolumnę ze wszystkimi wiezionymi dobrami...

Kilka słów o formie wspomnień Jerzego Jankowskiego. Spisał je językiem potocznym, dalekim od literackości. Nie każdy wojskowy sięgający po pióro ma literacki talent i w tej książce widać to wyraźnie. W dwóch pierwszych częściach mnóstwo jest kolokwializmów, językowych błędów i zwyczajnych powtórzeń. Dziwne, że wydawca nie zadbał o ich poprawienie i redakcję tekstu, bo niektóre pomyłki wołają wręcz o pomstę do nieba (np. „akademii” zamiast Nadrenii, „Związek Nauczycielstwa Sowieckiego” zamiast Związek Nauczycielstwa Polskiego, „im. Stefana Żółkiewicza”

<sup>9</sup> Tamże, s. 403.

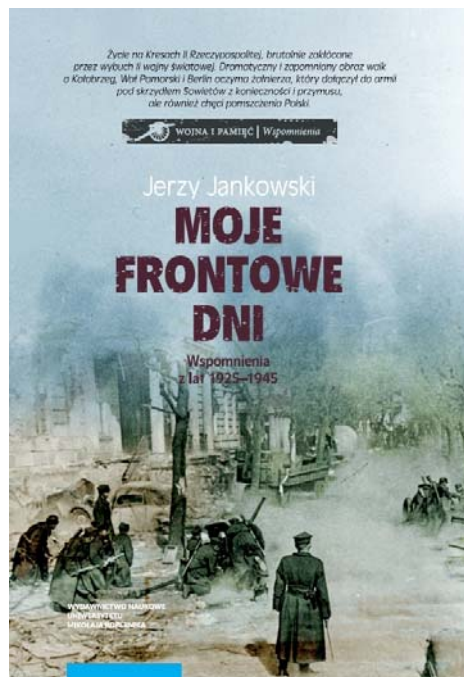
zamiast im Stefana Żółkiewskiego, „możny” zamiast wożny, „13 Dywizja Artylerii Konnej” zamiast 13 Dywizjon Artylerii Konnej itd., itd.). Być może wydawca chciał przedstawić czytelnikom tekst dokładnie w takiej formie, jaka wyszła spod pióra autora, jednak zbyt wiele błędów sprawia wrażenie, jakby powstały podczas niestarannego przepisywania oryginału (np. „alejami” zamiast akcjami...). Dochodzi do tego sporo literówek. Wygląda więc na to, że tekst nie został podany redakcji. Szkoda, bo przeszkadza to w czytaniu i nie przynosi chwały poważnemu skądinąd wydawnictwu.

Inna sprawa to naukowe opracowanie tekstu. Wspomnienia Jankowskiego zawierają niewiele przypisów, choć przy takim ładunku faktów i informacji, jakie przekazują, aż prosiłoby się o solidne wyjaśnienia dotyczące miejsc, postaci, wydarzeń. O ile w wydanych przez oficynę UMK *Pamiętniku lwowianki 1914–1919* przypisów było aż za dużo, a część z nich była dość absurdalna, to w *Moich frontowych dniach* przypisów dramatycznie brakuje. I znów szkoda, bo tekst zasługuje na to, a z wyjaśnień czytelnicy odnieśliby tylko korzyść.

Podczas lektury razi też stylistyka autora. Z dużą niechęcią (choć należałoby

użyć znacznie mocniejszego słowa) pisze o Ukraińcach, Żydach, Niemcach, Czechach. Rażą określenia typu „żydek” (sic!), „Szwab”, „kacapy”. Przedwojenne hitlerowskie prześladowania Polaków w Rzeszy to dla niego oczywiście barbarzyństwo, ale szykany wobec Niemców i Ukraińców w Polsce są jak najbardziej usprawiedliwione. Jankowski na co drugiej stronie podkreśla swój głęboki antykomunizm, który jednak jakoś nie przeszkadzał mu przez prawie 40 lat służyć w Ludowym Wojsku Polskim, zajmować w nim znaczące stanowiska i dojść do stopnia pułkownika. W ogóle w tekście wspomnień widać dwojakie podejście. Autor spisywał je pod koniec lat 80. (a zatem jeszcze w okresie PRL-u) i na początku 90. (a więc już w III RP). Mieszają się w nim stare podejście, w którym bohaterski wysiłek 1. i 2. Armii WP przywrócił Polsce stare piastowskie ziemie na zachodzie, a Armia Czerwona była sojusznikiem, z tym nowym, w którym sowieci to okupanci, Ukraińcy to mordercy, a nacjonalizm tożsamy jest z patriotyzmem. Autor przyjmuje nową polityczną perspektywę, w której PRL nie była suwerennym państwem, a jednocześnie wyraża żal, że wojenny dorobek Ludowego Wojska Polskiego spychany jest w cień, postępowany i lekceważony, a jemu i jego kolegom odmawia się miana polskich żołnierzy... Na korzyść autora przemawia natomiast fakt, że otwarcie (choć niejako mimochodem) pisze o mniej chwalebnych zachowaniach polskich żołnierzy: pijanństwie (zwłaszcza wśród czołgistów), zabijaniu jeńców (wyraźnie opisał taki przypadek), gwałtach na niemieckich kobietach (niestety, rzecz dotyczyła także Polaków). Dodajmy jeszcze, że trzecia – wojenna – część wspomnień została starannie napisana i pod względem stylu oraz języka korzystnie wyróżnia się od dwóch poprzednich.

Mimo tych krytycznych uwag *Moje frontowe dni* warto przeczytać. To niezwykle ciekawy dokument ukazujący realia przedwojennego życia na polskim Wołyniu, potem obu okupacji, a wreszcie bojowego szlaku 1. Armii Wojska Polskiego, z tak ważnymi epizodami, jak przełamanie Wału Pomorskiego, zdobycie Kołobrzegu i walki w Niemczech. To cenna lektura dla badaczy dziejów Polaków na Kresach, historyków Ludowego Wojska Polskiego, ale też zwykłych miłośników i pasjonatów obu tych tematów.





Michał Piekarski

## Pamięć o rodzinie Szymanowskich we Lwowie

Związki Karola Szymanowskiego (1882–1937) ze Lwowem były wyjątkowo silne. Choć nigdy nie mieszkał na stałe w tym mieście, pojawił się we Lwowie ponad 20 razy. W tym roku mija 140. rocznica urodzin autora baletu *Harnasie*. Warto z tej okazji przypomnieć o związkach Szymanowskich ze Lwowem.

Do rodziny Szymanowskich do 1917 r. należał majątek Tymoszwówka położony w guberni kijowskiej w ówczesnym cesarstwie rosyjskim. Lwów, należący wówczas do Austro-Węgier, oddalony był od Tymoszwówki o blisko 700 km. O Karolu Szymanowskim zrobiło się we Lwowie głośno na początku 1911 r., gdy otrzymał I nagrodę na konkursie kompozytorskim, który został zorganizowany z okazji obchodu 100. rocznicy urodzin Fryderyka Chopina w 1910 r. Pierwszy koncert kompozytorski Szymanowskiego odbył się we Lwowie w 1912 r. Kolejne koncerty miały miejsce w latach: 1920, 1928, 1930 w sali Polskiego Towarzystwa Muzycznego (obecna Filharmonia). To właśnie po koncercie w 1920 r. odbyło się ważne w biografii Szymanowskiego spotkanie w willi rodziny Sołtysów z udziałem Adolfa Chybińskiego (który zainspirował Szymanowskiego do napisania baletu *Harnasie*). Poza tym twórczość Szymanowskiego prezentowano we Lwowie także podczas wielu innych koncertów (już bez jego osobistego udziału). Niejednokrotnie dziełami Szymanowskiego dyrygował Adam Sołtys (profesor, a od 1930 r. dyrektor konserwatorium PTM), który utrzymywał z Szymanowskim bliskie relacje.

We Lwowie za każdym razem muzyka Karola Szymanowskiego spotykała się z bardzo dużym zainteresowaniem i pozytywną reakcją wyrobioną muzycznie ówczesnej publiczności. Tym istotniejszym miastem w twórczości Szymanowskiego był Lwów, gdzie jego utwory przyjmowano lepiej niż w Warszawie czy Krakowie. Lwowskie koncerty Szymanowskiego odbyły się z udziałem jego siostry,



Karol Szymanowski z siostrą Stanisławą

Stanisławy Korwin-Szymanowskiej. Mieszkała ona na stałe we Lwowie, trwale wpisując się w jego kulturę muzyczną. Stanisława Korwin Szymanowska (ur. 1884 w Urłowie) debiutowała na lwowskiej scenie operowej w 1906 r. w partii Olimpij (Ialki-automatu) w *Opowieściach Hoffmanna* Jacques'a Offenbacha, odnosząc od razu wielki sukces. Przez cztery sezony śpiewała w zespole Opery Lwowskiej we Lwowie i Krakowie.

Szymanowska jako śpiewaczka specjalizowała się przede wszystkim w pieśniach i oratoriach. To właśnie z jej udziałem odbywały się prawykonania dzieł wokalnych jej brata Karola. Stanisława Korwin-Szymanowska była pierwszą i przez długi czas jedyną wykonawczynią jego pieśni i partii sopranowych w pozostałych utworach, prezentując je we Lwowie, Warszawie i innych miastach. W jej repertuarze znalazły się m.in. *Pieśni miłosne Hafiza*, *Pieśni muezina szalonego*, *Słopiewnie*, *Pieśni kurpiowskie*, *Rymy dziecięce*. Jak stwierdziła Teresa Chylińska, śpiew siostry był dla Szymanowskiego swoistym sprawdzianem, czy jego zamiar artystyczny został spełniony. Stanisława Korwin-Szymanowska opublikowała szkic *Jak należy śpiewać utwory Karola Szymanowskiego* (Warszawa 1938). Z kolei we Lwowie wydała w 1935 r. wspomnienia z rodzinnej Tymoszwówki zatytułowane *Opowieść o naszym domu*.

W 1930 r. lwowskiej publiczności zaprezentowano *Stabat Mater* Szymanowskiego,

również z udziałem Stanisławy Korwin-Szymanowskiej. Mieszkała we Lwowie ze swoim mężem Stefanem Bartoszewiczem, który najmował się przemysłem naftowym (związek nie należał do udanych). Z ich małżeństwa w 1911 r. urodziła się córka Alusia Bartoszewiczówna. Swoją siostrzenicę Karol Szymanowski darzył szczególną sympatią. Bartoszewiczówna kształciła się we



Klasztor Serca Pana Jezusa we Lwowie

Lwowie w elitarniej szkole sióstr Sacré-Coeur. W 1925 r., gdy podczas rekreacji w ogrodzie dziewczęta okrzykiwały figurę św. Stanisława Kostki, stary kamienny posąg runął z cokołu, uderzając Alusię w głowę. Dziewczynka straciła przytomność i wkrótce zmarła. Tragedia ta uwidoczniła się w twórczości Karola Szymanowskiego. Wstrząśnięty strasznym wypadkiem, nie mogąc zapomnieć o bólu swej siostry pogrążonej w żałobie po utracie dziecka, przystąpił do komponowania *Stabat Mater* do polskiego przekładu Józefa Jankowskiego. W związku z tym ostatecznie porzucił plany napisania *Requiem* zamówionego przez przemysłowca Bronisława Krystalla po śmierci jego żony Izabelli, dedykując jej pamięci właśnie *Stabat Mater*.

„Pamięci Alusi” Karol Szymanowski zadedykował za to powstały dwa lata wcześniej cykl 18 pieśni *Rymy dziecięce* na głos i fortepian do słów Kazimiery Iłkiewiczówny (m.in. *Prosię, Kołysanka lalek, Wizyta u krowy, Myszy, Święta Krystyna*). Jest to jedyna pozycja z gatunku utworów dziecięcych w twórczości Szymanowskiego. Stanisława Korwin-Szymanowska pisała o *Rymach dziecięcych*, że zostały skomponowane z „niezwykłym zrozumieniem i miłością

duszy dziecięcej”, podkreślała przy tym, że chodzi o duszę dziecka kulturalnego.

Stanisława Korwin-Szymanowska towarzyszyła ostatnim chwilom swojego ukochanego brata Karola w sanatorium w Lozannie (zmarł w 1937 r.). Odeszła w 1938 r., w rok po jego śmierci. Wraz z mężem Stefanem i córką Aliną zostali pochowani w rodzinnym grobowcu na Cmentarzu Łyczakowskim.

Do niedawna grobowiec Bartoszewiczów na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie był zapomniany i nieodnawiany od czasu jego powstania w okresie międzywojennym. Choć w kręgach muzycznych pamiętano o Stanisławie Korwin-Szymanowskiej, to niewiele osób miało już świadomość jak ważne dla rodzeństwa Szymanowskich były ich związki ze Lwowem. W 2022 r. za sprawą Narodowego Instytutu Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą Polonika został odnowiony grobowiec Bartoszewiczów. Renowację wykonał konserwator Radosław Tusznio. W ten sposób na nowo utrwalono obecność rodziny Szymanowskich w dziejach miasta Lwowa. Grobowiec znajduje się w alei położonej wzdłuż muru oddzielającego cmentarz od ulicy (pole 76, na prawo od wejścia głównego). Chodząc po Cmentarzu Łyczakowskim,

można spędzić cały dzień, odwiedzając groby samych tylko muzyków. Warto przy tym pamiętać, że ze Lwowem łączyły się (bezpośrednio lub pośrednio) tradycje dotyczące najważniejszych polskich kompozytorów: Fryderyka Chopina (poprzez postać jego ucznia Karola Mikulego), Stanisława Moniuszki, obecnego we Lwowie w 1865 r. (a także poprzez postać ucznia Henryka Jareckiego) i wreszcie Karola Szymanowskiego, związanego z tym miastem wyjątkowo silnie i bezpośrednio.

fot. Radosław Tusznio (2022)



**Kazimierz Nałęcz-Rychłowski**

# O CMENTARZU PRZY KADECKIEJ. SZKIC Z CZASU II WOJNY<sup>1</sup>

Cmentarze wojenne od wieków stanowiły świętość, pewnego rodzaju tabu, były nietykalne bez względu na to, czy leżał tam swój, czy wróg. Czasem zapomniane, zarosłe trawą, zaniedbane, ale nigdy nie były niszczone celowo. Niepisane prawo do uczczenia pamięci tych, co padli w walce.

Wrzesień 1939 roku. Korpus Kadetów przy ul. Stryjskiej we Lwowie. W tym roku nie rozpoczęto nauki. Najstarsi chłopcy ruszyli ochoczo z bronią w rękę, bronili Lwowa, przedzierali się przez granicę na Zachód, szli na Warszawę, ginęli w więzieniach i lagrach [tak w oryginale – A.S.], działali w konspiracji... Czy znajdzie się jeszcze ktoś, kto będzie w stanie opisać losy wojenne wychowanków Lwowskiego Korpusu Kadetów? Wspomnę tylko o jednym, bliskim mojej rodzinie, bohaterze spod Monte Cassino – Olku Jedziniaku<sup>2</sup>.

We wrześniu budynek zamieniono na szpital polowy. Leżeli tu żołnierze przywożeni najczęściej w ciężkim stanie. Front zbliżał się coraz bardziej i coraz więcej przywożono rannych. Wielu też z nich zmarło z odniesionych ran. Lekarzy było dosyć, brakowało tylko opatrunków i leków.

<sup>1</sup> Szkic znaleziony w archiwum bezpotomnie zmarłego autora w 2022 roku przez wnuczkę jego siostry. Tytuł dodany przez redakcję.

<sup>2</sup> Aleksander Jedziniak (1905–1966), podpułkownik, 15-letni uczestnik wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku, jako dorosły, kwatermistrz 5. Kresowej Dywizji Piechoty, więzień łagrów, andersowczyk. Kawaler Krzyża Virtuti Militari V klasy i Krzyża Pamiątkowego Monte Cassino. Po wojnie jako inwalida wojenny pozostał w Wielkiej Brytanii i był jednym z założycieli Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Był także jednym z 76 oficerów Polskich Sił Zbrojnych, których Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej pozbawił polskiego obywatelstwa.



Aleksander Jedziniak, źródło: NAC

Zmarłych chowano po drugiej stronie ulicy, naprzeciw budynku na terenie zlikwidowanego cmentarza z ub. wieku, zamkniętym między ulicami Kadeczką i Stryjską. Wkrótce powstało tam kilkanaście, może kilkadziesiąt mogił poległych żołnierzy. Na każdej mogile drewniany krzyż z nazwiskiem, tzw. nieśmiertelnikiem, czasem hełm poległego żołnierza. Na niektórych kwiaty z pobliskich działek. [Ile było tych grobów?]. Dziś z perspektywy czasu – trudno powiedzieć.

19 września jeden z najtragiczniejszych dla nas, lwowiaków dni: wkroczenie Armii Czerwonej. Budynek zajęty został przez wojsko. Co stało się z rannymi żołnierzami? Nie wiadomo. Być może trafili do innych szpitali...

Parę dni później poszedłem na ów cmentarzyk, by spisać nazwiska tam leżących. W trakcie tej czynności podszedł do mnie radziecki oficer, wyrwał mi zeszytik: – Ech ty!... tu padło parę epitetów w języku rosyjskim i coś, czego nie rozumiałem. Udobruchałem go kilkoma „machorkowymi”.

Nie zdążyłem już. Kilkanaście dni później, gdzieś pod koniec października, zastałem przerażający obraz: krzyże wyrwane, mogiły zrównane z ziemią. Nie było już śladu po cmentarzu.

Teraz zaczęto chować tam czerwonoarmistów. Cmentarz rósł coraz bardziej.



Zapełniał się nagrobkami o kształcie półkolistym, sporządzonymi przeważnie z deski, w wypisanym ołówkiem chemicznym nazwiskiem zmarłego czerwonoarmisty.

22 czerwca [1941 r.], wybuchy pierwszych bomb niemieckich przyjęliśmy z radością: z Niemcami łatwiej damy sobie radę. Nikt nie przeczuwał, co nas czeka pod okupacją tym razem niemiecką.

Teraz budynek przejęło wojsko niemieckie, urządzając w nim, zgodnie z przezna-

eniem, szpital polowy. Wkrótce drewniane nagrobki ustępującej armii sowieckiej spalono, mogiły zrównano z ziemią, a wykopane zwłoki przewieziono do wspólnej mogiły – dołu.

Chowano tam teraz niemieckich żołnierzy. Pięknie wykonane krzyże, starannie zrobione tabliczki z nazwiskiem, stopniem, niekiedy trafiali się kawalerowie wysokich orderów bojowych, starannie położone helmy, wszystko to z przysłowiową niemiecką pedanterią. W miarę upływu czasu cmentarz zapełniał się coraz bardziej, mogiły kopano coraz bliżej, zaczynało brakować miejsc.

Kiedy w 1944 roku weszli ponownie Rosjanie, cmentarz był już zapełniony. W bardzo krótkim czasie z niemieckiego cmentarza nie pozostało śladu. Zrównany z ziemią, zapełniał się ponownie czerwonoarmistami. Co stało się z poprzednikami? Nie wiem. Widziałem z daleka jeżdżący po nim traktor. Kiedy musiałem uciekać ze Lwowa w początkach 1945 roku, ten tragiczny cmentarz poległych – był już zapełniony.

---

KAZIMIERZ NAŁĘCZ-RYCHŁOWSKI – wrocławski poeta, dziennikarz, satyryk. Urodzony w Samborze 24 lutego 1919 roku, zmarły we Wrocławiu 4 marca 1998 roku. Syn lwowskiego dziennikarza, poety i tłumacza Kazimierza Nałęcz-Rychłowskiego. Redaktor „Gazety Robotniczej” i „Wieczoru Wrocławia”, współpracownik Studia 202.

---

Do druku podała Aleksandra Solarewicz, wnuczka siostry autora.



**Agnieszka Unrug**

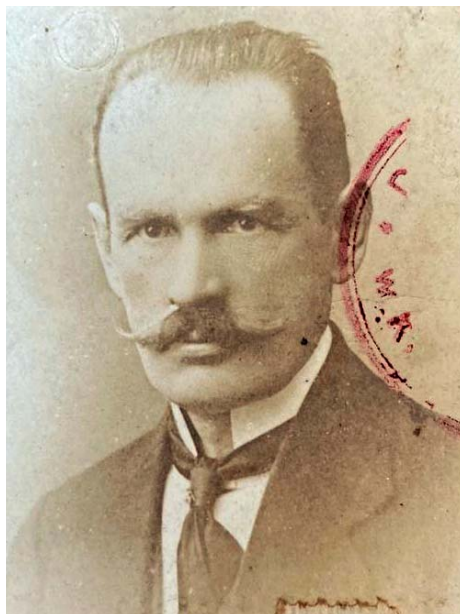
## „Z czternastodniowego pobytu we Lwowie”

Opis sytuacji we Lwowie we wrześniu 1914 roku na podstawie felietonu dr. Teofila Więclawa opublikowanego w „Głosie Narodu”

**D**oktor Teofil Więclaw, mój pradziadek, ukończył studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po uzyskaniu tytułu doktora praw 29 lipca 1901 roku rozpoczął aplikanturę we Lwowie. Pierwszą kancelarię prawną otwiera w Nowym Sączu (1908–1909), następnie przenosi się ponownie do Lwowa. Tam otwiera kancelarię przy ulicy Kopernika 11, a potem przenosi ją na Halicką 21. Ze Lwowem związany jest do 1914 roku.

Latem 1914 roku, jak co roku, spędza z rodziną, Marią Owsieńską-Więclawową, pięciorgiem dzieci (w wieku od 11 do 4 lat) i swoją matką wakacje w Skolem. Wybuch I wojny światowej zastaje ich na wakacjach. 29 sierpnia 1914 roku Teofil decyduje się na wyjazd do Lwowa. Wyjazd jest konieczny, bo musi pozalać pilne sprawy w swojej kancelarii. Ma wrócić 6 września. Decyzję podejmuje łatwo. Dostępny biuletyn wojenny informuje o przewadze wojsk austriacko-węgierskich. Teofil wyklucza, że może być odcięty od rodziny. Wejście wojsk rosyjskich do Lwowa 3 września utrudnia mu powrót do rodziny czekającej na niego w Skolem. Opis sytuacji we Lwowie, próby zdobycia transportu i przepustki zezwalającej na podróż publikuje w październiku 1914 w trzech numerach wydania wieczornego (nr 252, 255 i 256 z 16, 19 i 20 października 1914) krakowskiej gazety codziennej „Głos Narodu”.

Pierwszy odcinek felietonu „Z czternastodniowego pobytu we Lwowie” (wydanie numer 252) ukazuje się wraz z komentarzem redakcyjnym. Redakcja „Głosu Narodu” pisze: „O zajęciu Lwowa i pobycie w nim Moskali, dobiegającym już końca, zamieściliśmy już dużo informacji. Obecnie otrzymujemy dłuższy opis tych wydarzeń. Daje on pełny opis tych historycznych dni. Autorem jest znany adwokat lwowski Dr Teofil Więclaw” (cytaty: pisownia oryginalna).



dr Teofil Więclaw

Pradziadek zapewnia czytelników, że wszystko w felietonie to informacje, które „sam zbadał lub widział”, są one „przedstawione ściśle, a w całym opowiadaniu zachował obiektywność wolną od swoich osobistych zapatrywań i nasuwających mu się stąd wniosków”. A oto, co pisze.

**Sobota 29 sierpnia.** W czasie jazdy do Lwowa, przypuszcza, że jedyną niedogodnością wojny jest znaczne opóźnienie jego pociągu do Lwowa. Normalnie przejazd pociągiem na trasie Skole–Lwów trwa 3,5 godziny. Teofilowi zabiera ten przejazd aż 9 godzin. Dopiero po przyjeździe na dworzec orientuje się, że w okolicach Lwowa muszą być zacięte walki. Na dworcu jest bardzo dużo rannych, którzy czekają na transport do szpitali miejskich zarekwizowanymi przez Czerwony Krzyż autami i tramwajami.



**Niedziela, 30 sierpnia.** W mieście jest spokojnie, tylko duży ruch samochodów wojskowych i jaszczyków z amunicją wskazuje, że blisko Lwowa (w okolicy Złoczowa, Rawy Ruskiej i Buska) trwają walki.

**Poniedziałek, 31 sierpnia.** Tytuły gazet „Wielkie zwycięstwo naszych pod Lwowem” lub „Kłęska Moskali pod Lwowem” budzą otuchę. Teofil chce wrócić do Skolego, ale zostaje poinformowany, jak pisze „przez inżyniera kolejowego”, że pociągi osobowe jadą tylko do Krakowa i do Skolego nie można się dostać. W mieście widzi grupy „włociańskich rodzin” jadących przez Lwów ze swoim dobytkiem. Zaczepia niektórych z nich i dowiaduje się, że wojsko pali wsie. Wszyscy, którzy mogą, uciekają ze swoim dobytkiem przed siebie, byle dalej od pola walki.

**Wtorek, 1 września.** Rada miejska ogłasza nabór do straży miejskiej.

**Środa, 2 września.** Pradziadek dowiadyduje się przypadkowo, że jeden pociąg do Skolego pojechał o 4 rano, a następny ma wyjechać o 11 wieczorem. Z trudem udaje się Teofilowi znaleźć fiakra, który żądając 20 koron za przejazd (normalna opłata wynosi 2 korony), zgadza się zawieźć go na dworzec o 10 wieczorem. „Na dworcu panują ciemności. Ludzie idący na peron świecą po drodze zapalnikami. Brak służby kolejowej”. Tłumy ludzi próbują dostać się do pociągu. Teofil, opisując co dzieje

się na peronie, stwierdza, że tych scen nigdy nie zapomni: „[...] bito się do krwi, kobiety mdlały. Kto silniejszy wyrzucał słabszego lub kobietę z wozu. Jedna kobieta rozpaczliwie zawodzi, że jej dzieci zginęły... Ludzie zwykli manipulują coś na maszynie, chcąc ją w ruch puścić, bo maszyniści nie ma. Tu znów przed maszyną kłębi się tłum kobiet, które klęczą i mówią, że jak ich nie zabiorą, to niech po ich trupach jadą”. Nie mając siły patrzeć się na to, co się dzieje na dworcu, wraca do domu. Po paru dniach czyta we lwowskim dzienniku, że pociąg zatrzymano pod Gródkiem i kazano wszystkim wysiąść.

**Czwartek, 3 września.** „Miasto wygląda jak po jakiejś zaradzie, kupy śmieci i gnoju po ulicach, a poza tem cisza i pustka grobowa”. Na ulicach pojawiają się ogłoszenia z wydrukowanym apelem do mieszkańców Lwowa, proszącym o utrzymanie porządku i godne zachowanie w przypadku wkroczenia armii carskiej. Tego samego dnia Lwów kapituluje. Na budynkach wywieszane są białe flagi. Emblematy z orłami są ściągnięte. Na bramach kościołów wywieszane są obrazy z Matką Boską. Od 11 godziny zaczynają wjeżdżać patrolo dragonów „piki na ramieniu, karabin w ręku gotowy do strzału, niepewność i podejrzenie na twarzy”.

**Piątek, 4 września.** Następuje masowe wkraczanie wojsk rosyjskich do miasta. Teofil opisuje ten dzień następująco: „[...] na pochwałę publiczności trzeba przyznać, że zachowywali się wzorowo – wszyscy stali poważnie, bez oznak strachu, ale i bez oznak owacyj, na które Moskale chciwie wyczekiwali. [...] Wszyscy Moskale maszerowali z ogromną brawurą, z uśmiechem i pewnością siebie, czego dowodem ten fakt, że powszechnie się pytali każdego, jak daleko do Wiednia i która droga tam prowadzi. Gubernator Szeremetiew powitany przez wiceprezydenta Rutkowskiego przyrzeka opiekę, żądając lojalności”.

Sytuacja w mieście jest bardzo trudna. „Trafiki są pozamykane, bo brakuje tytoniu”.

Brakuje jedzenia. Ceny rosną: „Za 1 kilo masła, o ile można je po parogodzinnej wędrówce wyszukać, płaciło się do 8 koron”. Przez dwa dni brakuje chleba i bułek. Pieczony chleb na kwasie, jak wyjaśnia Teofil, z braku drożdży jest bardzo niedobry. Brakuje funduszy na wypłaty zasiłków pieniężnych żonom, których mężowie służyli przy wojsku. Telefony do prywatnego użytku nie działają. Teofil stara się być na bieżąco informowany o sytuacji w mieście. „Jakkolwiek oficerowie mało chodzili do kawiarni, które zresztą świeciły pustkami, to przecież można było od czasu do czasu z nimi porozmawiać. Polaków między nimi jest znaczna ilość. – Oficerowie, słysząc pochlebne wyrazy, byli wprost otwarci. Mnie na przykład powiedział jeden z oficerów, że jeśli by byli wypierani ze Lwowa, to nie pozostaje z niego ani kamienia na kamieniu, a na moją uwagę, że mogą nie mieć czasu do zniszczenia Lwowa, odrzekł że miny działają prędko. Czy to była przechwałka czy zamiar straszenia, nie wiem. Faktem jest, że na dworcu głównym ciągle coś manipulowali i gdy z cygarem tam siedłem, to mnie zawrócili”. Teofil próbuje uzyskać przepustkę na podróż do Skolego. Droga urzędowa, szukanie protekcji u „dobrze wi-

dzianych osób u gubernatora” czy pisanie petycji do gubernatora nie odnoszą skutku. Teofil dowiaduje się, że w stronę linii bojowej wyjazd jest wykluczony. Ta informacja jest powodem, że Teofil „postanawia się wykraść ze Lwowa przy pierwszej sposobności”. Przepustki zaczęto wydawać 14 września, ale tylko w stronę Tarnopola i Brodów, w okolice, które były zajęte przez wojska rosyjskie.

Do gubernatora zgłaszali się też chłopcy w sprawie wykroczeń ze strony wojska, oszustwach przy płaceniu, rabunku zboża czy drobiu, zaczepianiu kobiet. W mieście ludzie mówili o rabunkach dworów przez podjudzanych przez Moskali chłopów. Jak podkreśla Teofil, we Lwowie nie było żadnych wykroczeń ze strony wojska. „Moskale zachowywali się pod każdym względem poprawnie, prawdopodobnie dlatego, ponieważ głosili, że przyszli nas »wyswobodzić z niewoli«, chociaż nikt ich o to z Polaków nie prosił”. „Zachowana jest też wolność osobista. Redaktor gazety najbardziej krytykującej Moskali chodzi po mieście swobodnie”.

**Czwartek, 10 września.** Według relacji Teofila w okolicy rogatek grójeckiej i stryjskiej trwają walki.



**Piątek, 11 września.** Do Lwowa zwożono wielkie ilości rannych Moskali. Wszystkim zdawało się, „że z ogromnej armii, która przeszła przez Lwów, zostały same szczątki. [...] Damy rosyjskie od Czerwonego Krzyża, z krzyżem na welonie, ramieniu i piersiach, których dość dużo do Lwowa przybyło, upadały ze zmęczenia”.

**Sobota, 12 września.** Tego dnia został ogłoszony przez gubernatora nabór mężczyzn do kopania szańców i rowów obronnych pod Lwowem. Rada miejska zmuszona została do zapłaty robotnikom. Po licznych protestach gubernator, nie zwalniając miasta od zapłacenia zatrudnionych przy kopaniu ludzi, ofiarowuje cały zarekwirowany zapas tytoniu, jak przypuszczano, wartości 3 milionów. Trafiki zaczęły na nowo tytoń sprzedawać, a miasto zyskało fundusze.

Tego dnia Teofil zatrzymuje na ulicy chłopca prowadzącego wóz ciągnięty przez pokaleczone konie. Na wozie siedzi matka z dziećmi „istny obraz Grottgerowski”. Wóz pokryty z wierzchu blachą jest podziurawiony od kul. „Chłop z dzikim wejrzeniem. Wejście jednak nie było wrodzone, to skutek wojny”. Poczęstowany paroma papierosami zaczyna opowiadać pradziadowi, że chciał uciec przed wojną, ale wraca do swojej wsi, „bo woli zdechnąć na swoich śmieciach”. Uciekając, dostał się na linię bojową. „Kule brzęczały po wozie jak grad, on leżał z dziećmi i żoną w jakimś dołku przez dzień i noc i uszedł cało. Skaleczone zostały konie”.

**Piątek, 18 września.** Teofil Więclaw postanawia pojechać do Skolego. Boi się o rodzinę, bo gazety podały, że 14 września Skole zostało zajęte przez Moskali. Teofil decyduje się na ryzykowną podróż, bo jak pisze „uważał, że chociażby mu zginąć wypadło, to nikt nie powie, że siedziałem we Lwowie spokojnie, podczas gdy moja matka-staruszka, żona i pięcioro dzieci, jeśli żyją, to w ciągłej obawie o swoje zdrowie i życie”.

W ostatnim odcinku swojego felietonu pradziadek opisuje również relacje z pola walki opowiedziane przez koleżkę po fachu, porucznika rezerwy. Ten „kając, opisuje scenę, która – jak mówi – w godzinę śmierci jego będzie mu stała przed oczyma: Byliśmy okopani w polu i zasypywani gradem kartaczy moskiewskich. Od stano-

wisk Moskali ku nam biegł gościeńiec [...]. Na 200–300 kroków przed nami stało parę nędznych chałup chłopskich niedaleko gościńca. Naraz wśród najstraszniejszej kanonady i strzałów karabinowych widzimy czworo dzieci zmierzających tym gościńcem ku nam. Dzieci te wyszły widocznie z którejś z chałup [...]. Wołamy, ale krzyk nasz głośniejszy huk strzałów, dajemy znaki rękami i chusteczkami – bez skutku – dzieci idą dalej. Zamknąłem oczy na ten straszny widok – jak długo to trwało, nie wiem, ale strzały rosyjskie zaczęły słabnąć – potem ustały, bo nam odsiecz przyszła. Wybiegamy do tych dzieci i wołamy: – Na miłość Boską, gdzie wy idziecie. – Dowiadujemy się od nich, że w tych chałupach nie ma nikogo, oni głód cierpią, więc idą do wsi sąsiedniej. Gdzież ojciec? Przy wojsku. A matka, gdzie? Wtenczas najstarsza wybuchła płaczem i mówi: – Mamusię zabili – leży przed chałupą. – Oto żniwo wojny”.

28 listopada 1914 roku ukazuje się w „Gazecie Polskiej w Brazylii”, wydawanej w Kurdybie (wydanie nr 65), artykuł *Doniesienie z Polski. Lwów w jarzmie rosyjskim*, w którym cytowane są fragmenty felietonu Teofila Więclawa *Z czternastodniowego pobytu we Lwowie*.

Opis podróży pradziadka ze Lwowa do Skolego i jego dalsze poszukiwanie rodziny, która zmuszona została do ewakuacji ze Skolego, został również opublikowany przez „Głos Narodu” w listopadzie 1914 roku.

#### BIBLIOGRAFIA

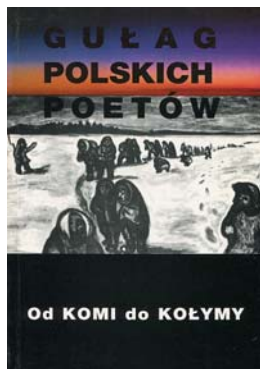
- „Głos Narodu”, *Z czternastodniowego pobytu we Lwowie*, wydanie wieczorne 252, 16 X 1914, s. 2, <https://jbc.bj.uj.edu.pl/dlibra/publication/164432/edition/156129/content>
- „Głos Narodu”, *Z czternastodniowego pobytu we Lwowie*, wydanie wieczorne 255, 19 X 1914, s. 2, <https://jbc.bj.uj.edu.pl/dlibra/publication/164427/edition/156124/content>
- „Głos Narodu”, *Z czternastodniowego pobytu we Lwowie*, wydanie wieczorne 256, 20 X 1914, s. 2, <https://jbc.bj.uj.edu.pl/dlibra/publication/164434/edition/156131/content>
- „Gazeta Polska w Brazylii”, *Doniesienie z Polski. Lwów w jarzmie rosyjskim*, 28 XI 1914, s. 2, [http://www.pbc.uw.edu.pl/1209/1/Gazeta\\_Polska\\_w\\_Brazylii\\_1914\\_65.pdf](http://www.pbc.uw.edu.pl/1209/1/Gazeta_Polska_w_Brazylii_1914_65.pdf)



Antoni Wilgusiewicz

# Ze Lwowa do piekła. Dwie antologie poetyckie

Czy międzywojenny Lwów był rajem? Z pewnością z perspektywy dzisiejszych uczestników „ruchu kresowego”, z których najmłodszy – we Lwowie urodzeni – dobiegają osiemdziesiątki, był, ale to oczywiście tylko złudzenie z gatunku „kraj minionego dzieciństwa to kraj idealny”. Rzeczywistość była dużo bardziej skomplikowana – mówią nam o tym historycy, ale też poeci. Poetyckie spojrzenie na Lwów i świat z niego widziany nie z perspektywy nostalgicznych wspomnień Herberta czy przede wszystkim Mariana Hemara, ale ówczesnie żyjących i tworzących w międzywojennym Lwowie po polsku – (bo byli i inni!) – poetów prezentuje nam antologia pod charakterystycznym tytułem *Galicja w krainie czarów*, opracowana przez Katarzynę Sadkowską. Od razu trzeba zaznaczyć, że książka została przygotowana bardzo starannie pod względem naukowym; w obszernym posłowiu zatytułowanym *Między estetyką a polityką* autorka dokonuje syntezy zjawiska międzywojennej poezji Lwowa, pokazując jej różnorodne aspekty nie tylko artystyczne, ale też społeczne, polityczne, pokoleniowe. Książka zawiera obszerną bibliografię, a także życiorysy i charakterystykę twórczości poetów w niej uwzględnionych, a jest ich 36 (ponadto dołączona jest lista poetów nieuwzględnionych w antologii zawierająca 46 nazwisk). Są to poeci bardzo znani, jak otwierający antologię Jan Kasprówicz czy też Maryla Wolska i jej córka Beata Obertyńska, ale też zupełnie nieznanymi, jak



zmarła w wieku 24 lat – podobno z powodu nieszczęśliwej miłości – Anda Eker, która tworzyła po polsku, gdyż ani hebrajskiego, ani jidysz nie znała, a w Palestynie mieszkać nie chciała, bo tęskniła za Lwowem. Jest tu oczywiście arcylwowski poeta Henryk Zbierzchowski, który tworzył tylko we Lwowie, jak też zmarły tu młodo Jan Zahradnik, ale i wspomniany wyżej Marian Hemar czy Józef Wittlin, bardziej znani ze swojej twórczości emigracyjnej; w kraju po wojnie działał znany głównie ze swoich przekładów poezji angielskojęzycznej Włodzimierz Lewik. Pojawiają się nazwiska twórców lewicowych, jak Bruno Jasieński, Leon Pasternak czy



Stanisław Jerzy Lec, któremu już w latach powojennych popularność przyniosły słynne *Myśli nieuczesane*. Do tworzących po polsku poetów pochodzenia żydowskiego należy zaliczyć też Deborę Vogel, znaną jako muza Brunona Schulza – używała ona w swojej poezji zarówno jidysz, jak i języka polskiego; ciekawą postacią był Leonard Hanin, starszy brat znanej aktorki Ryszardy, który zginął jako lekarz w likwidowanym przez Niemców szpitalu dla umysłowo chorych na Kulparkowie. Warto wreszcie wymienić nazwisko związanego po wojnie z Katowicami i tu zmarłego Aleksandra Baumgardtena, znanego bardziej ze swojej twórczości prozatorskiej (w antologii znajdziemy 6 wierszy z jego okresu lwowskiego, kiedy między innymi interesował się i przekładał na polski poezję ukraińską).

Tematyka prezentowanych wierszy jest oczywiście różnorodna, jak różnorodni byli



ich twórcy. Naczelny temat, jakim było wspomnienie niedawnej Obrony Lwowa w listopadzie 1918 roku, autorka świadomie pomija, uznając – pewnie słusznie – że zasługuje on na osobną antologię (choć biorąc pod uwagę obecną sytuację polityczną raczej nieprędko – o ile w ogóle – taka powstanie). Do Listopada nawiązują dwa wiersze Henryka Zbierzchowskiego, które demaskują, a nie budują jego mit – *Mały bohater* i *Granatowa rzeczywistość*. Trzeba też powiedzieć, że Lwów jako miasto jest obecny w nielicznych utworach. Klania się tu Mickiewiczowska fraza *Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie...* I tak na przykład Marian Hemar, w którego powojennej twórczości utracony Lwów (notabene dużo wcześniej opuścił go, przenosząc się – jak wielu innych lwowian – do Warszawy) stanowi główny, jeśli nie jedyny temat, w latach trzydziestych, czerpiąc niemałe profity z piosenek pisanych do popularnych warszawskich kabaretów, już Lwów wspomina. W wierszu *Warszawa 1934* pisze: „Zrozumiałem, jak bardzo obcy jestem w Warszawie. We Lwowie było

inaczej”. W innym wierszu *Ból serdeczny, rozwagi wstrzymane siłą* jakby dla kontrastu w ironiczny sposób nawiązuje do bolesnego zjawiska lwowskiego antysemityzmu i swego żydowskiego pochodzenia (był kuzynem Stanisława Lema, który notabene też pisał wiersze, ale dopiero w okresie powojennym). Stanowi to jednak tylko margines jego ówczesnej twórczości. Obiekty Lwowa znane nam z przewodników turystycznych odnajdziemy w wierszach Romana Makarewicza, jak *Przed wystawą sklepową na ulicy Legionów* czy *U Atlasa na Rynku*, ale w obu wypadkach nie jest to obraz optymistyczny. Sztandarowym przykładem pesymizmu posuniętego do ostatecznych granic jest twórczość Jana Zahradnika, jak na przykład wiersz *Hamlet w knajpie*, którego scenerią jest niewymieniona co prawda z nazwy, ale szeroko znana wśród artystów nie tylko lwowskich knajpa

U Atlasa (notabene istniejąca do dziś pod tą nazwą, przyciągająca turystów – głównie z Polski). Zahradnik tematykę codziennego życia lwowian poruszał zresztą w satyrycznych wierszach pisanych „dla chleba”, jak *Życie i śmierć lwowianina*, gdzie wieszczy mu życie i śmierć wśród kałuż i prochu (po lwowsku tak nazywa się kurz).

Jak stwierdza autorka wyboru, lwowscy poeci dążyli do stworzenia mitu. Dla tych pochodzenia żydowskiego mitem tym była odległa Palestyna, dla lewicowców – kraina szczęśliwości, którą jawił się im ówczesny ZSRR. Pojawiał się też mit Lwowa i Kresów jako wspólnej ojczyzny Polaków i Ukraińców i inne mity, które można określić jako prywatne, związane z osobowością poety (na przykład ucieczka w mityczny świat przyrody). Jak stwierdza autorka, mitem nadrzędnym było wywyższenie świata duchowego, iluzynego ponad trudy codziennego bytowania we Lwowie lat II RP, który był miejscem czarów, ale i rozczarowań.

Lwów międzywojenny rajem nie był z pewnością, piekłem stał się – w sposób



Kamil Woźniak

# RASKOLNIKOW Z MOŚCISK

**M**ościska. Jedno z najstarszych miast Ziemi Lwowskiej. Leżą na szlaku z Przemyśla do Lwowa. Obecnie są oddalone zaledwie 12 km od granicy. Swoją nazwę zawdzięczają mostom, które je otaczają. W sąsiedztwie miasta znajdował się otoczony wałami zamek, w którym rezydowali starostowie mościscy. Miasto miało też ratusz, rynek, mury i wały obronne, w których znajdowały się bramy: Przemyska, Lwowska i Tkacka oraz Baszta Samborska. W II Rzeczypospolitej Mościska były centrum powiatu mościskiego województwa lwowskiego i zaraz przed wybuchem II wojny światowej liczyły prawie pięć tysięcy mieszkańców.

Jest rok 1933. Koniec sierpnia, wieczory są już coraz chłodniejsze. Mały, mroczny pokój posterunku Policji Państwowej w Mościskach wypełniają trzy postaci. Pierwszy komisarz spokojnie siedzi za biurkiem, drugi zaś nerwowo chodzi wzdłuż i wszerz pokoiku. Przed drewnianą balustradą stoi wysoki, szczupły brunet z zakolami. Zaróżniona i zmęczona twarz zdradzają silne zmęczenie, a zapach sugeruje, że raczył się przez kilka ostatnich dni nie tylko herbatą.

W końcu zza biurka odzywa się starszy funkcjonariusz:

– Może się pan przecież przyzna, panie Zych. Wszystko świadczy wszak przeciw panu. I krew na ubraniu, i ziarna pszenicy przylepione do butów.

– Jestem niewinny – mówi mężczyzna – całą noc z poniedziałku na wtorek przespałem w stodole w sąsiedniej wsi.

– Przecież pańskie alibi nie udało się, udowodniliśmy panu, że przez całą noc stodoła była zamknięta. To wszystko, o czym pan opowiadał, że działo się w stodole w ciągu nocy, miało miejsce, jak zeznali świadkowie, dopiero rano, dużo godzin po zamordowaniu starej Schlafowej i jej córki Brajndli.

Tadeusz Zych powtarza uporczywie:

– Jestem niewinny.



Tadeusz Zych na ławie oskarżonych w Sądzie w Przemyślu

Po chwili do śmierzącego gorzalką pokoiku wchodzi żona oskarżonego – Zychowa. Tadeusz prosi o pozostawienie ich samych. Komisarze nie przystają na tę prośbę. Rozmowa małżonków jest bardzo krótka. Kiedy się rozstają, Zych zaczyna rzewnie płakać, pada na kolana i woła.

– Ja to zrobiłem. Powiem już wszystko. Życie mi i tak niemiłe.

Tak zaczyna swoją opowieść, straszoną spowiedź mordercy. Komisarze słuchają z zainteresowaniem i uwagą, jednak w miarę posuwania się historii na ich twarzach malowało się obrzydzenie i odraza. Mimo dużego doświadczenia pierwszy raz spotkali tak cynicznego mordercę.

– Wszystkiemu winien mój ojciec. Nie dawał mi na utrzymanie. On, bogaty budowniczy, przyjmował do robót budowlanych zawsze obcych. Jeśli już kiedyś decydował się zatrudnić mnie, to zawsze tylko wtedy, gdy tylko nie było na robocie żadnego zarobku, ale zawsze trzeba było dołożyć. Byłem w nędzy wraz z moją żoną i trojgiem dzieci. Dom mi się walił, trzeba było go przed zimą naprawić. Trzeba było żonie i dzieciom jakiś przyodziewek sprawić. Po nocach całych zamiast spać, rozmyślałem o tym, skąd dostać pieniądze. Wreszcie, a było to przed miesiącem, dojrzała we mnie myśl. Postanowiłem kogoś zamordować. Zacząłem szukać ofiary. Los zesłał mi starą Schlafową. Wezwała mnie do siebie i poprosiła, żebym naprawił jej ścianę w sypialni. Wziąłem się natychmiast do roboty. Kiedy pracowałem, do pokoju weszła Schlafowa, wyciągnęła z szafy papierową torebkę i włożyła do niej dużą kwotę

pieniędzy. Wtedy przeszła mi szybko przez głowę szalona myśl, żeby ją zamordować. Był to niestety dzień i po mieszkaniu kręcili się ciągle inni ludzie. Odłożyłem to na później. Myśl o morderstwie i pieniądzach nie dawała mi spać. Co wieczór jak hiena krążyłem wokół jej domu. Wreszcie w poniedziałek udało mi się wemknąć do sieni i dalej na podwórko. Ukryłem się między komórkami i czekałem do nocy. W mieszkaniu było ciemno. Schlafowa wraz z córką były w mieście. Wreszcie po dwóch godzinach ktoś wszedł do mieszkania. Po chwili podkrađłem się pod oszklone drzwi kuchenne. Widziałem, jak stara Schlafowa siedzi przy stoliku i robi na drutach pończochę. Przyszło mi do głowy prawie hamletowskie zapytanie: jeść czy zaczekać aż wróci córka? Cofnąłem się jednak na podwórko. Lepiej zaczekać – pomyślałem. Schlafówna nie wracała. Po godzinie jednak wszedłem do kuchni. Zdziwiona starucha zapytała:

– Czego pan tu szuka, panie Zych, po nocy?

– Ano miałem robotę w sąsiedztwie, dopiero teraz skończyłem, widzę, światło się pali, myślę sobie, wstąpię, zobaczę, czy już ściana przeszkła, czy jakie poprawki potrzebne. Pokażcie, Szajndlo, tę ścianę.

Schlafowa zdjęła lampę z wieszaka i weszła do sypialni. Podążyłem za nią, usiadłem przy stole, zacząłem rozmawiać o różnych rzeczach. W pewnej chwili powiedziałem do niej: Postawcie, Szajndlo, lampę na stole, ręka wam się trzęsie, gotowicie ją upuścić na ziemię i będzie pożar. Schlafowa odwróciła się do mnie tyłem, by postawić lampę na stole. Wówczas uderzyłem ją żelaznym łomem. Padła. Niestety w tej samej chwili usłyszałem rozmowę w sieni. To wracała jej córka. Zdziwiła się nie mniej od starej, że widzi mnie o tej porze w swoim domu. Powiedziała:

– Co za gość, skąd się pan tu wziął teraz?

– Przyszedłem obejrzeć ścianę, czy już wyszła.

Schlafówna wzięła klucze wiszące na ścianie i po-

szła zamknąć się. Po chwili wróciła i zapytała:

– Gdzie mama??

– Mama w sypialni – spokojnie odrzekłem.

Kiedy młoda weszła do sypialni, podążyłem za nią. Gdy tylko przekroczyła próg, uderzyłem ją z całej siły w głowę, padła na podłogę. Tymczasem niespodziewanie podniosła się stara, o której myślałem, że już dawno nie żyje. Zanim się zorientowałem, ta już wybiegła do kuchni, a stamtąd do magazynu ze zbożem. Obawiając się, żeby nie narobiła krzyku, pobiegłem za nią i ugodziłem ją jeszcze kilkakrotnie łomem w głowę. W międzyczasie jak na złość oprzytomniała młoda Schlafówna. Wróciłem przeto do niej i ją dobiłem.

Teraz wiedziałem na pewno, że obie nie żyją. Powyciągałem wszystko z szaf i szuflad. Znalazłem wszystkiego 110 złotych. Nagle w jednej sekundzie ogarnęło mnie straszliwe przerażenie. Staroświecki zegar wiszący w krwawej sypialni zaczął wybijać północ. Szyby w oknach zaczęły dzwonić, po mieszkaniu hulał wicher, podłoga skrzyiała. Nagle zdało mi się, że stara Schlafowa idzie ku mnie z podniesioną ręką, w której trzyma siekiere. Przerażony upuściłem na ziemię trzymaną w ręce płonąca świecę. W panicznym strachu wybiegłem na ulicę. Zatrzymałem się dopiero na moście na Siecznej. W tym momencie przypomniałem sobie, że z porzuconej świecy może zająć się cały



Mościska, ulica pańska

dom, a potem całe drewniane nasze miasteczko. Postanowiłem wrócić i zobaczyć, co się pali. Gdy wróciłem, to przez zamknięte okiennice sypialni Schlafowej wydobywały się kłęby dymu. Nie miałem odwagi wejść do środka. Postanowiłem czekać, aż ktoś nadejdzie. Po chwili pojawił się posterunkowy i inni ludzie. Byłem jednym z pierwszych, którzy weszli do mieszkania, by ratować. Zobaczyłem, że obie kobiety nie żyją. Kręciłem się po domu jeszcze do 5 rano, poczem udałem się do wsi pod Mościskami, wszedłem do jakiejś otwartej stodoły, schowałem się w sianie i usnąłem. Spałem tak do południa. Następnie wróciłem do Mościsk. W czasie pogrzebu zostałem aresztowany...

Morderca po swojej powiedzi zdyszany padł na ławę. Obaj komisarze policji, Olenkiewicz i Potoczny, milczeli przez długą jeszcze chwilę pod wrażeniem strasznej opowieści. Wreszcie padły rozkazy. Pod eskortą Zycha zaprowadzono na miejsce czynu. Tam opisał jeszcze raz szczegóły mordu. Nie podał tylko, gdzie ukrył zrabowane pieniądze i fanty. Jak się okazało potem, dzieci Zycha, bawiąc się na podwórzu, znalazły prześcieradło Schlafowej, kołnierz krymski, 110 złotych, dwa pierścionki i kilka pięciokoronówek austriackich. Zniosły to matce, która cały łup schowała. Wynika z tego, że Zychowa wiedziała wcześniej, nim Zych się przyznał na policji, że to on jest sprawcą mordu.

Następnego dnia Tadeusz Zych powtórzył swoje zeznania przed sędzią śledczym w Mościskach panem Matwijasem. Po kilku dniach odstawiono go do Przemyśla. W drugiej połowie września stanie przed sądem.

Jak relacjonuje „Tajny Detektyw” nr 39 z 1933 roku, przed sądem doraźnym w Przemyślu rozegrał się epilog głośniejszej sprawy mordu na dwóch bezbronnym kobietach. Szajndli i Brajndli Schlaf, w Mościskach zamordowanych w nocy z 28 na 29 sierpnia bieżącego roku. Na rozprawie Zych zaprezentował się jako nędznie wyglądający 39-letni mężczyzna. Na jego twarzy niemal przez całą rozprawę malował się obłądny strach. Przewodniczący wiceprezes sądu okręgowego odczytał akt oskarżenia. Potem zeznawał oskarżony. Podał, że jest murażem, ma żonę i trójkę dzieci, najmłodsze ma 6 miesięcy, najstarsze 5 lat. Opowiadał o swojej przeszłości. Ukończył 5 klas szkoły powszechnej, ale do każdej klasy chodził jak

to mówi „dwa do trzy roki”. Miał osiemnaście lat, kiedy ukończył szkołę powszechną. Jako dwunastoletni chłopak spadł z drzewa i rozbił sobie czaszkę. Od tego czasu miewał „szum” w głowie, a gdy słońce silniej świeciło, omdlewał. Po ukończeniu szkoły trochę pracował z ojcem, a następnie podróżował po świecie. Był przez pewien czas w Krakowie, Lwowie i Paryżu. Podczas wojny, wzięty do armii austriackiej, kilkakrotnie był ranny na froncie rosyjskim. W końcu ożenił się w 1922 roku. Wiele razy leczył się w szpitalu na choroby weneryczne.

Po przesłuchaniu oskarżonego zeznawali świadkowie, w tym komendant powiatowej Policji Państwowej w Mościskach komisarz Potoczny, który opisał szczegółowo przebieg policyjnego pościgu. Ciekawe były zeznania naczelnika przemyskiego więzienia pana Stawińskiego. Zych po kilku dniach w celi rozpoczął głodówkę. Po 24 godzinach zaczęto go przymusowo odżywiać. Wówczas zaprzestał głodówki i jadł z rosnącym z dnia na dzień apetytem. Z zeznań strażników wynika zaś, że oskarżony usiłował symulować chorobę umysłową. Odezwał się raz do strażnika: „Panie profesorze, więzień w celi nr 25 prosi o ogień”. Innym razem okręcił sobie szyję prześcieradłem i wołał „Śmierć, śmierć!”. Tak samo często krzyczał w trakcie przymusowego odżywiania go przez lekarza więziennego.

Po wysłuchaniu mowy oskarżyciela prokuratora Łobaza i obrony adwokata dra Neusa, wyznaczonego z urzędu, żaden z adwokatów nie chciał podjąć się obrony potworzonego mordercy, trybunał udzielił ostatniego słowa Zychowi. Ten padł dramatycznie na kolana i krzyczał: „Wysoki Trybunale! Dusza moja pali już w piekle! Od was zależy, aby ją uratować, a gdy będziecie na drugim świecie, ona wam podziękuje!”.

Trybunał udał się na naradę. Po krótkim czasie przewodniczący ogłosił wyrok, skazujący Tadeusza Zycha na karę śmierci przez powieszenie. Trupio błędnego wyprowadzono z sali rozpraw. Po drodze pocałował jeszcze swoją żonę w rękę, nie mówiąc nawet słowa. Obrona zwróciła się nawet do kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej z prośbą o łaskę. Pan Prezydent Ignacy Mościcki nie przychylił się jednak do tej prośby. Zych został powieszony białym świtem kilka dni później.

**Beata Kowalska-Sionko**

# Z życia Lwowa

## KALENDARIUM

**WRZESIEŃ 1922**

### 4 WRZEŚNIA

Dzień przez oficjalnym otwarciem II edycji Targów Wschodnich uruchomiono autobusową komunikację w odstępach 15-minutowych między hotelem „George” a placem Targów Wschodnich, w godzinach od 7.00 do 9.00 zaś między Dworcem Głównym i hotelem „George”. Na czas trwania Targów Wschodnich, od 5 do 15 września, towarzystwo PLL „Aerolloyd” wprowadziło codzienne połączenia lotnicze Warszawa–Lwów.

### 5 WRZEŚNIA

Odbyło się uroczyste otwarcie II Międzynarodowych Targów Wschodnich z udziałem 1608 wystawców krajowych i 244 zagranicznych. Uroczyste przemówienia wygłosili: prezydent miasta Lwowa Józef Neumann, prezes Targów Wschodnich dyrektor Marian Turski, wiceminister handlu i przemysłu dr Henryk Strassburger. W uroczystościach uczestniczył minister pracy i opieki społecznej Ludwik Darowski oraz wiceminister skarbu Wiktor Mikulecki, a także przedstawiciele miejscowych władz, instytucji, ogromnej liczny kupców i przemysłowców z kraju i z zagranicy oraz tłumy publiczności.



Targi Wschodnie. Dyrektor Targów Wschodnich Turski (1) oprowadza po pawilonach targowych ministra Darowskiego (2) i Strassburgera (3). „Nowości Ilustrowane”

### 10 WRZEŚNIA

W sali ratuszowej odbył się zjazd delegatów Polaków wyznania mojżeszowego, poprzedzony uroczystym nabożeństwem w synagodze postępowej. W obradach wzięło udział 80 delegatów z udziałem posłów dr. Diamanda, Henryka Kolischera, Ignacego Steinhausa i bankiera Wiktora Chajesa oraz adwokata dr. Wassera.

### 13 WRZEŚNIA

W drodze do Rumunii we Lwowie zatrzymał się marszałek Józef Piłsudski udający się na spotkanie z parą królewską. Wzdłuż peronu rządowego na powitanie Naczelnika Państwa ustawiła się kompania honorowa ze sztandarem i muzyką. Zebrali się przedstawiciele wszystkich pułków lwowskich, władze wojskowe z gen. Władysławem Jędrzejewskim, gen. Janem Thulliem, oraz z szefem sztabu majorem Tadeuszem Rozwadowskim.

Licznie stawili się reprezentanci władz cywilnych: wojewoda Kazimierz Grabowski, w towarzystwie radców województwa: Doszota, Krechowieckiego, Zawistowskiego oraz dyrektora policji Reinlendera. Obecni byli delegaci prezydium miasta: prezydent Józef Neuman, wiceprezydenci: dr Marcell Chlamtacz, Julian Obirek, dr Leonard Stahl, a także radni, sędzia okręgowy Ludwik Dworzak, dyrektor archiwum dr Aleksander Czotowski.

Pośród zebranych przedstawicieli innych władz i instytucji lwowskich byli konsulowie: angielski, francuski, austriacki, sekretarz poselstwa polskiego w Rumunii dr Baczewski (junior), rektorzy wyższych uczelni, przedstawiciele duchowieństwa katolickiego, żydowskiej gminy wyznaniowej, prasa, młodzież akademicka, różne lwowskie towarzystwa i również prezes Targów Wschodnich Marian Turski.

### 5-15 WRZEŚNIA

II Międzynarodowe Targi Wschodnie trwały 10 dni, od 5 do 15 września, z udziałem 1608 wystawców krajowych i 244 zagranicznych. Obecni byli przedstawiciele misji

sowieckiej, przedstawiciele Szwajcarii, Francji i innych krajów. Podczas Targów odbywały się też imprezy towarzyszące o charakterze gospodarczym, jak np. zjazd restauratorów, hotelarzy, kawiarzy.

## 17 WRZEŚNIA

Wieczorem przyjechał z Rumunii do Lwowa Naczelnik Państwa. Powracając z wizyty u króla Ferdynanda, Józef Piłsudski, podczas postoju, znalazł czas, na rozmowę z wojewodą Kazimierzem Grabowskim i prezydentem miasta Lwowa Józefem Neumannem.



Naczelnik Państwa i król Ferdynand na dworcu kolejowym w Rumunii, zdjęcie „Nowości Ilustrowane”, 1922

## 24 WRZEŚNIA

Stawosz Szydłowski pobił rekord Polski w rzucie dyskiem oburącz.

## 26 WRZEŚNIA

Za pierwszy lot dokoła Polski Aero-Klub Rzeczypospolitej Polskiej w Warszawie przyznał pierwszą nagrodę kapitanowi Stanisławowi Pawlikowskiemu. Jego przelot z Warszawy przez Lwów–Kraków–Poznań do Warszawy trwał 707 minut 46 sekund. Obserwatorowi kapitanowi Bronisławowi Wojtasowiczowi, który leciał z kapitanem Pawlikowskim, przyznano nagrodę Targów Wschodnich we Lwowie. Nagrodę miasta Lwowa za najszybszy przelot na przestrzeni Warszawa–Lwów w 100 minut i 36 sekund przyznano kapitanowi Józefowi Hendriksowi.

## 29 WRZEŚNIA

W Bad Elster w Saksonii zmarł Jan Deodat Antoniewicz Bołoz, polski historyk i teoretyk sztuki związany ze Lwowem. Pochodził z ormiańskiej rodziny szlacheckiej Antoniewiczów de Bołoz.

Ukończył historię sztuki, estetyki i filozofii na uniwersytecie w Monachium, W 1892 roku na Uniwersytecie Lwowskim utworzono Katedrę Historii Sztuki Nowożytnej, której prowadzenie objął po roku. Od 1894 kierował także Instytutem Historii Sztuki, który zorganizował. W latach 1894–1918 był konserwatorem zabytków sztuki w Urzędzie Konserwatorskim we Lwowie. Był także prezesem rzeczoznawców dla dzieł sztuki, członkiem Akademii Umiejętności.

W 1892 został przewodniczącym komitetu i autorem katalogu retrospektywnej *Wystawy sztuki polskiej 1764–1886* na wystawie krajowej we Lwowie. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, w 1920 roku był współzałożycielem Towarzystwa Naukowego we Lwowie, a w 1922 sekcji Historii Sztuki, której do ostatnich miesięcy życia przewodniczył. Badał m.in. twórczość Tycjana i Leonarda da Vinci oraz dekorację rzeźbiarską Kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu. Opracował pierwszy polski zarys historii malarstwa, ze szczególnym uwzględnieniem polskich malarzy XVIII i XIX wieku, urządził wystawy malarskie m.in.

Jacka Malczewskiego. Badał też sztukę Ormian polskich.

---

## PAŹDZIERNIK 1922

---

### 4 PAŹDZIERNIKA

We Lwowie urodził się Adam Hollanek (1922–1998), poeta i pisarz, założyciel i długoletni redaktor naczelnny miesięcznika „Fantastyka”. We Lwowie uczył się do III Gimnazjum im. Stefana Batorego, gdzie angażował się w życie kulturalne szkoły: organizował koło literackie i teatralne, założył gazetkę szkolną „Nurtem Skamandra”. W czasie okupacji miasta karmił wsi w Instytucie Badań nad Tyfusem Plamistym i Wirusami prof. Rudolfa Weigla. Po zdaniu ma-



Adam Hollanek, źródło: Wikipedia



tury studiował w Studiu Aktorskim Teatru Polskiego, także uczestniczył w konspiracyjnych wieczorach literackich. Zmuszony do opuszczenia Lwowa, studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pisał scenariusze radiowe, powieści fantastyczne, nowele. Był też autorem dwóch tomów wspomnień *Ja z Łyczakowa* oraz *I zobaczyć miasto Lwów*. W 1982 r. założył miesięcznik „Fantastyka”, którego do 1990 r. był redaktorem naczelnym. Następnie związany z „Nową Fantastyką”. Pod koniec życia wspierał Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Pd.-Wsch. i uczestniczył w jego działaniach.

### 5 PAŹDZIERNIKA

Gmach Poczty Głównej we Lwowie został odnowiony, aczkolwiek wstrzymano się z oficjalnym otwarciem, o czym informował dyrektor Bieniawski. Był on bowiem nieoczyszczony, w piwnicach cały czas zalegał gruz, brak było bramy, poręczy w klatce schodowej, ścianek odgradzających kasę od publiczności itp. Dyrekcja robót publicznych zobowiązała się doprowadzić prace do końca i oddać jak najszybciej gmach do dyspozycji poczty. Koło poczty, do końca roku, miała powstać dobudówka z mównicami telefonicznymi, gdzie mieszkańcy Lwowa mogli nadawać listy i telegramy. Po remoncie wewnątrz przedstawiało się elegancko i wytwornie. Na frontonie umieszczono napis: „Poczta, telegraf, telefon”. Na pomieszczenia dyrekcji poczty Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego przydzieliło budynek greckokatolickiego seminarium przy ul. Kopernika. Do czasu wybudowania nowego seminarium przy pl. św. Jura seminarium otrzymało pomieszczenia zastępcze.

### 10 PAŹDZIERNIKA

Doktor Albert Zipper (1855–1930), profesor II gimnazjum państwowego we Lwowie, obchodził 40-letni jubileusz swojej pracy zawodowej. Urodził się we Lwowie w 1855 roku w rodzinie urzędnika wojskowego. Studiował w Wiedniu i Lwowie. Uczył języka niemieckiego, filologii klasycznej w gimnazjum we Lwowie i Jaśle. Należał do Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych, był założycielem i członkiem Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza. Prace naukowe i literackie wydane po polsku i po niemiecku,

obejmowały 50 tomów rozpraw, krytyk, artykułów w wielu rocznikach i czasopismach. Najbardziej znane jego dzieła: *Dokładny słownik języka polskiego i niemieckiego*, *Mitologia Greków i Rzymian dla młodzieży*, *Siedem cudów świata i podróż do Olimpii*, *Opowiadania z mitologii Greków i Rzymian dla użytku szkół*. Był autorem licznych utworów poetyckich w języku niemieckim oraz przekładów na język niemiecki dzieł poezji polskiej.

### 10 PAŹDZIERNIKA

Odbył się pogrzeb Jana Bołoz-Antoniewicza. Zmarły został odprowadzony z krypty oo. Bernardynów na cmentarz Łyczakowski. Następnego dnia w kościele archikatedralnym obrządku ormiańskiego odbyło się nabożeństwo żałobne. Śmierć prof. Bołoz-Antoniewicza położyła kres projektowi, który też wspierał i popierał arcybiskup Józef Bilczewski, metropolita lwowski. Kiedy Jerzy Dobrzycki wysunął propozycję przeniesienia do Lwowa serca króla Jana Kazimierza, to za sprawą prof. Bołoz-Antoniewicza urealniono działania.

### 16 PAŹDZIERNIKA

Przyszła na świat Janina Zamojska (1922–2015). Zasłużona dla ochrony polskiego dziedzictwa kulturowego we Lwowie, stanowiąca oparcie dla wielu przyjeżdżających do miasta rodaków. Związana ze Lwowem działaczka podziemia niepodległościowego w czasie II wojny światowej w ramach NOW-AK, powojenna działaczka polonijna, katolicka. Tworzyła nielegalne punkty katechetyczne. Po 1989 roku włączyła się w proces zwrotu Kościołowi katolickiemu świątyń zajętych w okresie stalinizmu na Ukrainie.

### 16 PAŹDZIERNIKA

W szpitalu powszechnym we Lwowie zmarł Sydor Twerdochlib, redaktor „Ridnego Kraju”, poeta, dziennikarz, publicysta ukraiński, zwolennik pojednania polsko-ukraińskiego. Stał na czele Ukraińskiej Partii Włóściańskiej. Dzień wcześniej został postrzelony w czasie kampanii wyborczej na stacji kolejowej Sapieżanka koło Kamionki Strumilowej. Pochowany został na Cmentarzu Łyczakowskim. Wojewoda lwowski Grabowski wyznaczył 2 mln mk za pomoc w ujęciu morderców Sydora Twerdochliba.

## 20 PAŹDZIERNIKA

Stowarzyszenie lwowskich hotelarzy przeznaczyło 10 pomieszczeń dla najbardziej potrzebujących studentów Politechniki Lwowskiej. Mogli w nich zamieszkiwać od 1 listopada do końca czerwca 1923 r. Pozostali hotelarze, którzy nie udostępniili pomieszczeń, przekazali zapomogę w wysokości 200 000 mk miesięcznie.

## 22 PAŹDZIERNIKA

Rozegrany w niedzielę mecz finałowy o mistrzostwo Polski Pogórń Lwów – Warta Poznań 4:3: „przyniósł po zaciętej, pełnej zdumiewających momentów i prawie do ostatniej minuty trzymającej w niepewności wyniku w grze, zwycięstwo lwowskiej Pogoni. Palma zwycięstwa i zaszczytny tytuł Mistrza Polski, przypadły lwowskiej drużynie zasłużenie, po żmudnej i ambitnej walce”.

Mistrz Polski na 1922 rok. Pogórń Lwów po wygranym meczu z Wartą Poznań, „Przebieg Sportowy”, 1922



## 25 PAŹDZIERNIKA – 3 LISTOPADA

Stanisław Wasylewski wzbudził zainteresowanie mieszkańców miasta cyklem swoich wykładów *Za furtą klasztoru średniowiecznego*, które odbyły się w Kasynie i Kole Literacko-Artystycznym. Stanowiły one odrębną całość cyklu *Rola kobiety w dziejach kultury polskiej*. Liczna frekwencja słuchaczy była też w następnym dniach: 27 października podczas odczytu *W promieniach renesansu*, 30 października *Za króla Sasa i królowej Marysieńki* oraz 3 października *Dama w stylu rokoka i hafciarka romantyzmu*.

## 31 PAŹDZIERNIKA

W kościele św. Elżbiety, synagodze postępowej i kościele ewangelickim odprawiono nabożeństwa żałobne za poległych obrońców Lwowa.



Cmentarz Obrońców Lwowa, źródło: NAC

## LISTOPAD 1922

### 1 LISTOPADA

Na dawnym cmentarzu w ogrodzie Politechniki odprawiono nabożeństwo żałobne za poległych obrońców Lwowa.

Kopalnie jaworznicke wstrzymały dostawy węgla do elektrowni lwowskiej z powodu braku wagonów.

### 14 LISTOPADA

Zmarł Jan Grzegorzewski (1846–1922), publicysta, badacz kultur Wschodu. Jako uznany orientalista był współzałożycielem Polskiego Towarzystwa Orientalistycznego, które powstało w 1922 roku we Lwowie. Studiował sławistykę w Odessie. Przebywał we Lwowie, Stambule, Bułgarii, Krakowie, Zakopanem. Ostatnie lata życia od 1916 do 1922 spędził w Polsce. Badał folklor Spisza i Podhala. Wraz z orientalistami A. Gawrońskim, W. Kotwiczem i J. Rozwadowskim rozpoczął wydawanie naukowego periodyku „Rocznik Orientalistyczny”. Opublikował dokumenty dotyczące stosunków polsko-tatarskich w XVII–XVIII w. Lata 1920–1922 poświęcił badaniu kultury i języka Karaimów w Haliczu. Dużo zebranych materiałów pozostawił w rękach wykształconych Karaimów halickich.



Jan Grzegorzewski, źródło: Polona

## 16 LISTOPADA

Tymczasowa Rada Miasta przeznaczyła 226 000 mk na remont cerkwi św. Pawła i Piotra oraz 250 000 na remont cerkwi św. Mikołaja. Na adaptację budynku Muzeum Sobieskiego – 622 000 mk. Uchwalono budowę VII gimnazjum na gruntach miejskich, przy ul. Snopkowskiej.

## 22 LISTOPADA

Biskup Bolesław Twardowski odprawił nabożeństwo w katedrze łańcuckiej. Na budynku szkoły św. Marii Magdaleny i gmachu Politechniki odsłonięto Krzyże Obrony Lwowa.

## 25 LISTOPADA

W Warszawie, w Szpitalu Ujazdowskim, po długiej, ciężkiej i nieuleczalnej chorobie zmarł gen. Władysław Iwaszkiewicz vel Wacław Iwaszkiewicz-Rudoszański. Urodził się 25 sierpnia 1871 roku w Omsku na Syberii. Ojciec Witalis Iwaszkiewicz został zesłany na Syberię za udział w powstaniu styczniowym. Iwaszkiewicz po ukończeniu korpusu kadetów i wojskowej szkoły pawłowskiej w Petersburgu rozpoczął w 1891 służbę w armii rosyjskiej. W 1917 roku na wieść o utworzeniu się I korpusu polskiego gen. Iwaszkiewicz na czele garstki podległych mu Polaków przedarł się do kraju. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 roku otrzymał dowództwo kieleckiego okręgu wojskowego, a od grudnia przejął dowództwo wojsk polskich w Galicji Wschodniej. Podczas wojny polsko-ukraińskiej dotarł z oddziałem pod Lwów, uczestniczył w obronie miasta, ostatecznie go wyzwalając. W 1920 roku został dowódcą okręgu warszawskiego. 1 stycznia 1920 Naczelnik Państwa i Naczelnik Wódz Józef Piłsudski mianował go

członkiem Kapituły Tymczasowej Orderu Wojskowego Virtuti Militari oraz nadał mu Krzyż Srebrny tego orderu. Z dniem 1 października 1921 przeniesiony został w stan spoczynku w stopniu generała porucznika z prawem noszenia munduru.

## 25 LISTOPADA

Zmarł Alfred Kamienobrodzki (1844–1922), budowniczy, architekt, malarz akwarelista, trzykrotny król kurkowy. Brał udział w powstaniu styczniowym, w którym został ciężko ranny. Studia architektoniczne odbył na Politechnice w Wiedniu. Mieszkał we Lwowie, gdzie miał biuro architektoniczne. Był członkiem Towarzystwa Politechnicznego, Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie oraz Komitetu Wystawy Przemysłu Budowlanego we Lwowie. W roku 1894 otrzymał na wystawie lwowskiej złoty medal za prace architektoniczne. Zaprojektował budynki remizy tramwajowej przy ul. Wuleckiej i liczne budynki mieszkalne. Malował obrazy, głównie akwarelę, były to krajobrazy, widoki wnętrz i architektura Lwowa, Krakowa i ich okolic oraz Wołynia. Część akwarel Alfreda Kamienobrodzkiego znajduje się w Muzeum Historycznym miasta Lwowa, kilka w Muzeum Historycznym w Tarnowie, a także w rękach rodziny.



Alfred Kamienobrodzki, źródło: Wikipedia

## 30 LISTOPADA

Odbył się wieczór autorski lwowianka Józefa Mirskiego, właśc. Józefa Kretza (1882–1943), pedagoga, teatrologa, poety. Studiował na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Lwowskiego oraz na Uniwersytecie w Wiedniu. Początkowo pracował jako nauczyciel w krośnieńskim gimnazjum. W 1919 r. zmienił rodowe nazwisko Kretz na Mirski. W 1921 r. ożenił się z żoną Marią. W 1927 r. przeniósł się ze Lwowa do Warszawy, gdzie

Pogrzeb gen. Iwaszkiewicza we Lwowie, „Nowości Ilustrowane”, 1922



pracował w Ministerstwie Oświaty i Edukacji Publicznej. Brał udział w międzynarodowych kongresach pedagogicznych. Był propagatorem nowego wychowania dzieci i młodzieży. Z zakresu pedagogiki opublikował m.in.: *Współdziałanie młodzieży w pracy wychowawczej*, *Wychowanie i wychowawca*, *Zagadnienie karności w wychowaniu*.

Prowadził prace badawcze związane z początkami polskiego teatru. Wiele uwagi poświęcił twórczości Wyspiańskiego. Współpracował z periodykami: krakowskim „Przeglądem Współczesnym”, warszawskim „Tygodnikiem Ilustrowanym” i „Lwowskimi Wiadomościami Muzycznymi i Literackimi”.

---

## GRUDZIEŃ 1922

---

### 1 GRUDNIA

Do Lwowa przywieziono zwłoki gen. Władysława Iwaszkiewicza. Trumnę wystawiono w Kaplicy Boimów przy katedrze łacińskiej. Tymczasowa Rada Miejska urządziła uroczystości ku czci zmarłego, mieszkańcy miasta licznie uczestniczyli w wydarzeniu.

### 3 GRUDNIA

Trumnę ze zwłokami gen. Władysława Iwaszkiewicza przeniesiono do katedry łacińskiej. Uroczysta msza żałobna została odprawiona przez arcybiskupa Józefa Bilczewskiego, po czym orszak odprowadził zmarłego na Cmentarz Obrońców Lwowa.

### 3 GRUDNIA

Odślonięto Krzyż Obrony Lwowa i Załogi Lewandówki na kościele pw. Matki Boskiej Nieustającej na Lewandówce.

### 7 GRUDNIA

Z okazji 25 rocznicy śmierci Adama Asnyka w Teatrze Wielkim wystawiono jego komedię *Bracia Lerche*.

### 7 GRUDNIA

Odbył się ogólnopolski Zjazd Delegatów Zdrojowisk, Uzdrowisk i Kąpielisk Morskich.

### 12 GRUDNIA

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego na mocy rozporządzenia zmieniło nazwę Akademii Weterynarii

na Akademię Medycyny Weterynaryjnej. Była to jedna z czterech uczelni we Lwowie w dwudziestolecu międzywojennym i jedna z dwóch uczelni kształcących lekarzy w specjalności medycyna weterynaryjna w II Rzeczypospolitej.

### 14 GRUDNIA

Tymczasowa Rada Miejska na mocy podjętej uchwały wysłała do nowo wybranego prezydenta Gabriela Narutowicza depešę gratulacyjną z okazji przejścia tego dnia władzy od Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego.

### 16 GRUDNIA

W warszawskiej Zachęcie zamordowany został Prezydent Rzeczypospolitej Gabriel Narutowicz. Zbrodni dokonał Eligiusz Niewiadomski. W stan gotowości postawiono od razu garnizon wojskowy i policyjny. Na lwowskich budynkach Ratusza i Urzędu Wojewódzkiego wywieszono czarne chorągwie. Przedstawienia teatralne, koncerty, seanse kinowe odwołano. Mieszkańcy do późnej nocy gromadzili się na ulicach, komentując tragiczne wydarzenia. „W związku z zamordowaniem Prezydenta Rzeczypospolitej śp. Narutowicza obiegają w mieście pogłoski o rzekomych rozruchach w stolicy, dyktaturze wojskowej”.



### 17 GRUDNIA

W Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych odbyła się wystawa zbiorowa rodowitych lwowiaków Mieczysława Reyznera, Włodzimierza Błockiego i pochodzącego z Krakowa Mariana Strzembosza.

### 22 GRUDNIA

W katedrze łacińskiej biskup Bolesław Twardowski odprawił nabożeństwo żałobne za dusze śp. Prezydenta RP Gabriela Narutowicza. W synagodze postępowej z inicjatywy Związków Polaków Wyznania Mojżeszowego i Żydowskiego Klubu Mieszkańskiego także odprawiono uroczyste nabożeństwo.

Prezydent Narutowicz po przejściu władzy z Józefem Piłsudskim w Belwederze, „Nowości Ilustrowane”, 1922

## „Pamiętaj, skąd przyszedłeś, patrz, dokąd idziesz, i miej mądrość, żeby wiedzieć, kiedy się zatrzymać”

W Samborze pożegnano pedagoga i dyrektora polskiej szkoły Krystynę Husarz (1962–2022)

**15** września 2022 roku Ziemię Samborską obiegła wstrząsająca wiadomość, że we Lwowie po długich cierpieniach odeszła do wieczności wieloletnia dyrektor centrum kulturalno-oświatowego im. św. Jana Pawła II i dyrektor Szkoły Języka Polskiego w Samborze Krystyna Husarz. Zmarła była w mieście i powiecie osobą powszechnie znaną i szanowaną, toteż jej odejście napełniło wielu niewymownym żalem i smutkiem, a uroczystości pogrzebowe na miejscowym cmentarzu zgromadziły 17 września rzeszę ludzi, które przyszły pożegnać tę wyjątkową osobę.

Krystyna Husarz urodziła się w Samborze 7 lutego 1962 roku w polskiej rodzinie Józefa i Janiny Badowskich. Tutaj uczęszczała do szkoły, zagłębiała się i rozkochiwała w polskich i katolickich tradycjach, którym była wierna do końca życia. Swoje życie uważała za wielki cud, pisząc w testamencie m.in.: „Patrząc na swoje życie z perspektywy wielu lat, z pewnością mogę powiedzieć, że doświadczyłam wielkiej łaski Bożej, którą uważam za cud”.

Po ukończeniu studiów muzycznych na wydziale muzykologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Drohobyczu rozpoczęła pracę jako nauczyciel gry na akordeonie w samborskiej szkole muzycznej. Mimo że był to czas szalejącego ateizmu i komunizmu, podjęła też pracę w charakterze organisty w kościołach pw. Ścięcia św. Jana Chrzciciela w Samborze i Narodzenia św. Jana Chrzciciela w Mościskach przy boku wieloletniego tutejszego proboszcza ks. Kazimierza Mączyńskiego. Mimo tygodniowej pracy w szkole każdej niedzieli grała na dwóch mszach w Samborze, a następnie po południu z ks. Mączyńskim udawała się do Mościsk, gdzie również przewodniczyła śpiewom liturgicznym w formie organisty. Dopiero w godzinach wieczornych autobusem wracała do Sambora. Pozostała w Mościskach również organistką za czasów kolejnego proboszcza ks. Józefa Legowicza.



W tym czasie wychowała wielu śpiewaków i organistów, którzy do dziś udzielają się przy parafiach archidiecezji lwowskiej i Polski. Ogólnie jej działalność w charakterze organisty trwała w latach 1978–2003 i jak sama wyznawała „cud, że w czasach komunistycznych nikt mnie nie zobaczył i nie doniósł, że mogłam skończyć studia i pracować w szkole”. Warto również dodać, że zabiegała o zachowanie pamięci o zmarłym ks. Kazimierzu Mączyńskim, każdego roku w rocznicę śmierci umieszczając na portalach społecznościowych odpowiednie wspomnienie o tym wybitnym kapłanie.

Taka postawa nauczyciela i organisty wymagała w państwie sowieckim ogromnej odwagi i samozaparcia, którego nie brakowało zmarłej Krystynie. Również jej dom był ostoją kultywowanych tradycji katolickich, a kulminacją były przeżywane święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Jeszcze i dziś na jej profilu zachowały się zdjęcia z tego okresu.

Jako osoba była znana z wielkiej punktualności. Każda lekcja w szkole miała się zaczynać punktualnie co do minuty. Była nauczycielem wymagającym i bardzo życzliwym dla swoich uczniów. Wielką radością napełniało ją, gdy przychodziły do niej dzieci



z polskich rodzin, wówczas nawet w okresie komunistycznym wszystkie lekcje odbywały się w języku polskim, mimo że za takie postępowanie groziła jej nagana. W trakcie lekcji towarzyszyła jej niezastąpiona linijka, którą wybiła takt dla grającego ucznia. Ta punktualność także przejawiała się w następnych latach, gdy jako dyrektor polskiej szkoły dawała koncerty dla społeczności miasta. Koncert musiał się rozpocząć punktualnie, nawet jeśli specjalnie zaproszeni goście się spóźniali. W następnych latach, szanując jej punktualność, urzędnicy państwowi przybywali na koncerty o czasie.

Bardzo kochała muzykę. Wiele czytała i studiowała na temat historii polskiej muzyki. Dzielili się tą wiedzą z dziećmi. Należy dodać, że nauczycielem muzyki w samborskiej szkole był pochodzący ze Strzelczysk jej mąż Kazimierz, z którym pobrali się 11 września 1982 roku. Razem przeżyli czterdzieści szczęśliwych lat. Wychowali syna Andrzeja – również muzyka. Toteż mieszkańcy miasta widzieli w nich przykładne małżeństwo.

Śp. Krystyna Husarz położyła ogromne zasługi również nad rozwojem i krzewieniem kultury polskiej na terenie Samborszczyzny. Przez wiele lat była dyrygentem samborskiego parafialnego chóru, a od 2003 roku kierownikiem Klubu Muzycznego „Polonez” i dyrektorem polskiego chóru „Sursum Corda”. Występy dzieci i chóru przez wszystkie te lata gromadziły polską i ukraińską społeczność miasta Sambora na przedsięwzięte koncerty w Domu Ludowym, które powszechnie nosiły nazwę „Gdy pierwsza

gwiazdka zjawi się”. Również była inicjatorem i pomysłodawcą wielu koncertów patriotycznych i narodowych, organizowanych regularnie w samborskim Polskim Domu. Tak co roku był organizowany koncert dla dziadków i babć z okazji ich święta, z okazji Dnia Niepodległości Polski i wiele innych. Każde takie wydarzenie cieszyło się wielkim sukcesem i było doceniane przez miejscowe władze państwowe, które nagradzały dyrektora i dyrygenta wieloma odznaczeniami i dyplomami.

Obok działalności na terenie miasta chór jeździł z koncertami po Ukrainie, w tym we Lwowie, bywał w Polsce. Ukazała się również płyta z nagraniem kolęd i pastorałek.

Wiele też energii poświęciła kształceniu miejscowych dzieci i młodzieży. Od 2 kwietnia 2005 roku kierowała polską sobotnią szkołą w Samborze, a od 2011 roku pełniła obowiązki dyrektora centrum kulturalno-oświatowego im. św. Jana Pawła II w Samborze, które mimo licznych trudności ten tytuł uzyskało, oficjalnie przyznany zarówno przez władze państwowe, jak i kościelne – na podstawie wcześniejszego zezwolenia kard. Mariana Jaworskiego, metropolity lwowskiego. Krystyna Husarz widziała swój wybór na dyrektora szkoły jako nieprzypadkowy, gdyż właśnie w tym dniu zmarł Jan Paweł II. „Długo myślałam – pisała – o takim przypadku i postanowiłam całkowicie zmienić koncepcję szkoły, otwierając jej podwoje dla wszystkich”, gdyż dotychczas szkoła była przeznaczona jedynie dla dzieci z polskich rodzin. To właśnie Krystyna Husarz w Samborze oficjalnie zarejestrowała osobną jednostkę edukacyjną dla nauczania języka polskiego jako obcego dla dzieci i dorosłych z ukraińskich rodzin. Było to o tyle ważne w tym czasie, że rosło zapotrzebowanie na język polskich w ramach tzw. małego ruchu granicznego oraz chęci podjęcia studiów na polskich uczelniach. Ta Szkoła Języka Polskiego w Samborze oficjalną rejestrację otrzymała w 2019 roku, w niej również Krystyna Husarz pełniła obowiązki dyrektora.

Biorąc pod uwagę te liczne zasługi na płaszczyźnie kulturalnej i edukacyjnej,

1 października 1996 roku „w uznaniu zasług położonych w propagowaniu sztuki i kultury polskiej” Minister Kultury i Sztuki RP przyznał jej odznakę „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, a 9 października 2020 roku prezydent Rzeczypospolitej Andrzej Duda odznaczył ją „Złotym Krzyżem Zasługi”.

W ostatnim roku stan jej zdrowia znacznie się pogorszył, a 23 czerwca 2022 roku trafiła na oddział kardiologii w Samborze, gdzie stan zdrowia pacjentki określono jako krytyczny. Od 13 lipca 2022 roku przebywała na oddziale kardiologii we Lwowie, gdzie po dokładnych badaniach stwierdzono, że należy przeprowadzić dokładne leczenie serca, które jednak przestało bić 15 września 2022 roku w godzinach południowych. Zmarło serce, które przez lata biło dla męża, matki, syna, synowej, wnuków, a szczególnie dla samborskiej społeczności, którą tak kochała i której tak wiernie służyła przez wiele lat.

Krystyna Husarz jeszcze na początku września tak mocno ubolewała, że nie może być w polskiej szkole na rozpoczęciu roku szkolnego. Z każdym z nauczycieli przeprowadziła osobną rozmowę telefoniczną, udzielając odpowiednich wskazówek na nowy rok szkolny. Pragnęła do niej wrócić jak najszybciej. Planowała kolejne próby chóru polskiego, aby mimo toczącej się wojny choć w kameralnej atmosferze w okresie przedświątecznym w ramach symbolicznego koncertu spotkać się ze wszystkimi chętnymi. Miała wiele planów i inicjatyw, których nie było jej już dane zrealizować przez nieubłagane nadejście śmierci.

Szanowna Pani Krystyno! Wierzimy, że dziś wszystkie tak liczne dobre dzieła orędują za Panią w wieczności i wszystkie one pozostaną w pamięci tutejszego społeczeństwa. Świadczą za tym setki wpisów kondolencyjnych na portalach społecznościowych, w tym wpis mera miasta Sambora Jurija Hamara: „Przestało bić serce Krystyny Husarz. Mądra, energiczna, życzliwa i twórcza osoba. Taką właśnie znają ją w Samborze i poza nim. Ból i smutek od takiej wiadomości. Wspólnota miasta straciła utalentowaną osobistość i mądrą osobę”. Również wyrazy współczucia zostały skierowane od konsul generalnej RP we Lwowie Elizy Dzwonkiewicz, która napisała: „Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci Krystyny Husarz, wieloletniej dyrektor Polskiej Sobotniej Szko-



Krystyna Husarz z uczniami

ły im. św. Jana Pawła II, założycielki chóru »Sursum Corda« oraz zespołu »Polonez«, wielokrotnie nagradzanej odznaczeniami państwowymi. Składamy najgłębsze wyrazy współczucia rodzinie, przyjaciółom, miejscowej społeczności polskiej. Panią Krystynę zapamiętamy jako charyzmatyczną i inspirującą osobę, która swoje życie poświęciła pracy na rzecz Polaków mieszkających na ziemi samborskiej”.

Jak zostało wspomniane na początku, Krystyna Husarz swoje życie postrzegła jako cud: „Cud, że zostałam żywa w strasznym wypadku samochodowym 12 lutego 1991 roku i pomimo ciężkiego urazu głowy zostałam zdrowa. Cud, że nie zabił mnie prąd w wannie w nowym domu. Cud, że dwie ręce złamane i dwa kolana pobite, a ja grałam i chodziłam bez problemu. Cud, że z pomocą Bożą na wszystko starczało mi sił”. Należy dodać, że każdy, kto ją choć raz w życiu spotkał, doświadczył wielkiej życzliwości i radości, która z niej emanowała i za którą wszyscy są jej wdzięczni, a tytuł niniejszego artykułu całkowicie ją określa. To hasło życiowe umieszczone na jej grobowcu będzie przypominać następnym pokoleniom o wyjątkowej osobie, jaką posiadała Samborszczyzna.

Marian Skowryra

# Piszą do nas!

## BOLESŁAWIEC

„Kącik Kresowy” w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Kamila Cypriana Norwida w Bolesławcu został zainicjowany przez Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich (Oddział Bolesławiec) oraz Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej Koło Korespondentów z siedzibą w Bolesławcu. Uroczysta inauguracja odbyła się 18 sierpnia 2021 roku.

Do Redakcji „Cracovia–Leopolis” wpłynął list następującej treści:

### Podziękowanie

Pragnę podziękować po rocznej działalności wszystkim organizacjom i osobom, które włączyły się w tworzenie Biblioteki Kresowej („Kącik Kresowy”) w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Bolesławcu.

Dzięki takim działaniom mamy już wiele pozycji książkowo-albumowych, a co najważniejsze mamy też wiele kompletów wydawnictw organizacji kresowych czy kół terenowych TML i KPW, aby zachować je dla historii i potomnych.

Mamy już komplety (od początku wydawania: „Semper Fidelis”, „Na Rubieży”, „Cracovia–

Leopolis”, „Rocznik Kresowy”, „Ziemia Drohobycka”, „Wierni Bogu i Polsce Drohobyczanie”, „Biuletyn SPZD”, „Spotkania Świrzan”, „Kurier Galicyjski” – oprawiony rocznik 2018, 2019).

Apeluję o skompletowanie pozostałych wydawnictw, szczególnie „Z nurtem Stryja” (TML i KPW Gliwice), „Gazeta Lwowska”, „Lwowski Biuletyn Informacyjny (mamy 30%), „Rocznik Lwowski”, „Kresowa Stanica”, „Głos Podolan”, „Głosy Buczaczan”, „Goniec Polonijny” (Gorzów Wielkopolski), „Strzecha Stryjska” itp.

Dziękuję!

Z serdecznym pozdrowieniem  
Władysław Olszewski

W Biuletynie Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej nr 30/2022 została opublikowana relacja pt. „Kącik Kresowy” w *Miejskiej Bibliotece Publicznej w Bolesławcu*. Było uroczyste, wśród oficjalnych gości obecny był także profesor Stanisław Nicieja, który mówił o ocalaniu pamięci o Kresach poprzez różne formy działania, a w drugiej części odbyło się autorskie spotkanie Profesora w rozmowie z Sebastianem Zielonką, autorem książek o regionie.

Od redakcji „Cracovia–Leopolis” proszę przyjąć serdeczne gratulacje i wyrazy podziwu dla Państwa działalności.

## POŻEGNANIA

### Urszula Kogut z domu Greczkowicz (29 czerwca 1929, Tarnopol – 20 listopada 2022, Kraków)

Nadszedł smutny czas. Nasz „lwowski świat” ubożeje. 20 listopada odeszła z naszego grona Urszula Kogut, która zawsze, dopóki dopisywało Jej zdrowie, była!

Teraz, kiedy już jest „po drugiej stronie”, warto pomyśleć, jaka była. Mimo trudnego życia, wielu przykrych zdarzeń, cechowała Ją pogodna natura, dzięki czemu Urszula była zawsze uśmiechnięta, z dużym poczuciem humoru i z wielkim zapałem angażowała się w każde przedsięwzięcie, które pojawiała się w naszej działalności. A było to organizowanie spotkań opłatkowych, intensywny udział w corocznych kwestach na rzecz Cmentarza Łyczakowskiego, pomoc Polakom na Wschodzie, niejednokrotnie sprzedaż czasopism i książek wydawanych przez nasz Krakowski Oddział TMLiKP-W, przygotowywanie poczęstunku na spotkania członków i sympatyków Towarzystwa (póki jeszcze spotkania odbywały się w „Zaułku”).



Ale też lubiła i umiała się bawić, tańczyć, żartować, radośnie żyć.

Jej odejście bardzo nas zaskoczyło. Przy Jej żywotności wydawało się, że będzie z nami zawsze. Tymczasem przyszła choroba, brak możliwości działania i brak kontaktów coraz bardziej Ją zasmucała. Pozostała w niej tęsknota za Lwowem, która zwłaszcza w tym ostatnim czasie znacznie się nasiliła, a jedynym marzeniem było „pojechać do Lwowa”. Niestety – los chciał inaczej. Odeszła z wielką tęsknotą w sercu.

Kiedy ten świat został bez Uli i bez Jej uśmiechu, wiemy, że Lwów był dla Niej sensem życia.

W kwartalniku „Cracovia–Leopolis” 3-4, 2020 można przeczytać Jej wspomnienia z czasów wojny, o których tak niedawno opowiedziała. Tam też można poznać Jej funkcje i role w Krakowskim i Wrocławskim Oddziale TMLiKP-W.

To ważne, ale w takim wspomnieniu bardziej istotne jest to, jakim była Człowiekiem.

Zarząd Krakowskiego Oddziału TMLiKP-W  
Redakcja „Cracovia–Leopolis”



Na okładce oraz przy życzeniach bożonarodzeniowych – karty świąteczne, których autorką jest Aniela Pawlikowska z domu Wolska. „Lela” – tak się do niej zwracano – była córką poetki lwowskiej – Maryli Wolskiej. Urodziła się 11 lipca 1901 r. we Lwowie, zmarła 23 grudnia 1980 r. w Londynie. Była artystką malarką, portrecistką oraz autorką ilustracji książkowych. Prezentowane karty świąteczne pochodzą ze zbiorów Mariusza Olbromskiego.

---

Wydawca:

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Prezes Zarządu:

Lesław Popławski

---

Rada Programowa:

Stanisław Czerny – Oddział Krakowski TMLiKPW, dr Karolina Grodziska – Biblioteka PAN i PAU, ks. prof. dr hab. Józef Wołczański – Uniwersytet Papieski Jana Pawła II, Katedra Historii XIX i XX wieku, dr Tadeusz Skoczek – dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie, Janusz M. Paluch – redaktor naczelny kwartalnika, Lesław Popławski – prezes Zarządu Krakowskiego Oddziału TMLiKPW

Redakcja:

Piotr Boroń, Paweł Brzegowy, Jarosław Krasnodębski (Warszawa), Janusz M. Paluch (redaktor naczelny), Michał Piekarski (Warszawa), Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Natalia Tarkowska, Aleksandra Solarewicz (Wrocław)

Strona internetowa CL: [www.cracovia-leopolis.pl](http://www.cracovia-leopolis.pl)

oraz [www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/](https://www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/)

Adres redakcji:

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich  
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: [cracovialeopolis@gmail.com](mailto:cracovialeopolis@gmail.com)

Informacje o kwartalniku CL: [cracovialeopolis@gmail.com](mailto:cracovialeopolis@gmail.com), tel. 608 155 693

W sprawach prenumeraty prosimy telefonować i zostawiać wiadomości: 517 497 260.

Konto bankowe Oddziału TMLiKPW w Krakowie:

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

---

Przygotowanie do druku: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, 502 022 027, [fall@fall.pl](mailto:fall@fall.pl)

---

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja nie odpowiada za opinie, stwierdzenia i reklamy, które stanowią wyraz poglądów ich autorów.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

---

# Spis treści

<b>KOLĘDA DLA PRZYJACIÓŁ PO TAMTEJ STRONIE ŚWIATŁA</b>		<b>Musica Leopolis</b>	
Oskar Stanisław Czarnik	1	Michał Piekarski	
ADAM CHMIEŁOWSKI – ŚWIĘTY BRAT		PAMIĘĆ O RODZINIE SZYMANOWSKICH WE LWOWIE	47
ALBERT – A ZIEMIA PODOLSKA	2	Kazimierz Nałęcz-Rychłowski	
Piotr Zubowski, Janusz Mazur		O CMENTARZU PRZY KADECKIEJ. SZKIC Z CZASU II WOJNY	49
SKARBY KRESOWEJ ŚWIĄTYNI – DZIEDZICTWO KOŚCIOŁA ŚW. MARII MAGDALENY WE LWOWIE NA ZIEMI LUBACZOWSKIEJ	8	Agnieszka Unrug	
Ulice Lwowa		„Z CZTERNASTODNIOWEGO POBYTU WE LWOWIE”. OPIS SYTUACJI WE LWOWIE WE WRZEŚNIU 1914 R. NA PODSTAWIE FELIETONU DR. TEOFILA WIĘCŁAWA OPUBLIKOWANEGO W GŁOSIE NARODU	51
Franciszek Haber	12	Antoni Wilgusiewicz	
ULICA ŁOZIŃSKIEGO		ZE LWOWA DO PIEKŁA. DWIE ANTOLOGIE POETYCKIE	55
Adam Wierciński	21	Kamil Woźniak	
O KRESOWEJ MITOLOGII I IGNORANCJI		RASKOLNIKOW Z MOŚCISK	58
Poezja		Beata Kowalska-Sionko	
Mariusz Olbromski	27	Z ŻYCIA LWOWA. KALENDARIUM	61
POD PAŁACEM KULTURY ♦ GDY MIASTO SIĘ BUDZI ♦ ROK SCHULZA		Pożegnania	
Sławomir Gowin	28	KRYSTYNA HUSARZ – PEDAGOG I DYREKTOR POLSKIEJ SZKOŁY W SAMBORZE (1962–2022)	67
ROZRYWKOWY IMPERATOR		URSZULA KOGUT Z DOMU GRECKOWICZ (1929–2022)	70
Karolina Grodziska	37	PISZĄ DO NAS!	70
TAJEMNICZY, UTALENTOWANY, MRO CZNY			
Paweł Stachnik	39		
Z WOŁYNIA NAD ŁABĘ. WOJENNE WSPOMNIENIA JERZEGO JANKOWSKIEGO			